

M U Z E U M



M I A S T A

Ł O D Z I



**ŁÓDZKIE
PODWÓRKO**

tradycja i współczesność

zeszyt wspomnień

SPIS LOKATORÓW

ANDRZEJ SIKORSKI	5
MAGDALENA STARZYCKA	9
MAGDALENA KWAŚNIEWSKA	13
MAŁGORZATA KASPRZAK	17
SARA SZYSZKO	19
ELŻBIETA SZYLIN	21
ADAM KLIMCZAK	23
ZBIGNIEW RYBCZYŃSKI	26
ELŻBIETA BUKOWSKA	29
ALEKSANDER MISIUKIEWICZ	31
ZOFIA WINIAREK	33
WŁODZIMIERZ HAUK	35
ADAM MAJEWSKI	37
TOMASZ KOŁACIŃSKI	41
JOANNA ROZWADOWICZ	44
KRZYSZTOF PIETRZAK	46

Pomimo wielu podobieństw, każde podwórko jest inne, a przez to wyjątkowe. Różni je przede wszystkim wygląd, kształt, architektura, a co najważniejsze, każde podwórko ma swoją atmosferę i niepowtarzalny klimat. Ma też swoje własne historie, które tworzą i układają mieszkańcy otaczających je kamienic, domów, bloków.

Podwórka opowiadają o naszym mieście, jego przeszłości, kulturze, życiu codziennym łodzian, ich przyzwyczajeniach i zwyczajach. Skrywają też w cieniu szarych oficyn niejedną tajemnicę. Podwórka łódzkie to również fascynujące miejsce kontrastów. Tu spotykali się różni ludzie: bogaci i mniej zamożni, starzy i młodzi, Polacy, Żydzi, Niemcy. Dlatego ta wielokulturowa przestrzeń zasługuje na szczególne zainteresowanie. Toczyło się tu bowiem prawdziwe życie, bo jak wielu łodzian wspomina, „na podwórku działo się wszystko”. Tutaj rozbrzmiewał donośny śpiew wędrownych grajków, nawoływania handlarzy starzyzną, obwoźnych rzemieślników i sprzedawców, słychać było kłótnie sąsiadów z byle powodów, radosne krzyki dzieci.

Podwórka miały też swój zapach. Pachniało tu przygotowywanym właśnie obiadem, w niedzielę rosółem z kury i pieczonym ciastem, praniem czy kiszoną na zimę kapustą. Czasami gościła na nich przytłaczająca cisza. Nic szczególnego się nie działo, życie na chwilę zamierało – bo padał deszcz, było zimno czy świętowano w rodzinnym gronie.

O tym, jak wyglądało życie w jednej z łódzkich kamienic pisał Artur Rubinstein w książce pt. „Moje młode lata”, wyd. 1986. Czytamy w jej fragmencie „na podwórzu naszej kamienicy pojawiali się Cyganie, którzy śpiewali i tańczyli ze swymi poprzebieranymi małpkami, a tak zwany człowiek-orkiestra przygrywał im na wielu dziwnych instrumentach. Do tego dochodziły jeszcze monotonne nawoływania żydowskich handlarzy starzyzną, rosyjskich sprzedawców lodów, a także polskich wieśniaczek, śpiewnie zachwalających przyniesione jaja, warzywa i owoce. Uwielbiałem te dźwięki...”.

Dawne podwórka trwale zachowały się w pamięci wielu Łódzian. Świadczą o tym chętnie opowiadane historie z nimi związane, przywoływane we wspomnieniach lata beztrudnego dzieciństwa i młodości, twarze sąsiadów, których już nie ma, koleżanek i kolegów, z którymi kontakt się urwał, podwórkowe plotki, psoty i zabawy, ale też awantury i przekomarzenia.

Zdumiewające jest też to, że za każdym razem odkrywamy coś nowego w podwórkach, które już kiedyś odwiedziliśmy. Pokazały to m.in. spacery organizowane w ramach Projektu „Łódzkie podwórko – tradycja i współczesność”. Wędrówki szlakiem bałuckich podwórek oraz wzdłuż ulicy Piotrkowskiej zwróciły uwagę na to, co kryją w sobie te małe przydomowe przestrzenie, jak ważną rolę pełniły w życiu Łódzian kiedyś i jaką funkcję mogą pełnić dzisiaj. Są inspiracją dla artystów, architektów, urbanistów, ale są też istotnym miejscem dla zwykłych mieszkańców miasta. Tutaj nadal odbywają się sąsiedzkie i towarzyskie spotkania, tu – jak w przeszłości – bawią się dzieci. Małe drewniane komórki jak kiedyś służą do przechowywania przedmiotów, dla których nie ma miejsca w domu, wystawiane w sezonie letnim na podwórko stoliki i krzesła służą pogawędkom i spotkaniom sąsiadów.

Zachowały się gdzieniegdzie gołębniki, studnie, z których już prawie nikt nie korzysta, kilka trzepaków okupowanych przez lokatorów domu najczęściej przed świętami. Wprawdzie dziewczynki nie kręcą już na nich „fikołków” i nie uprawiają „podwórkowych akrobacji”, ale na te relikty przeszłości można jeszcze natrafić. Cały czas budzą zaciekawienie, u niektórych nawet zdziwienie. Zachowało się również na łódzkich podwórkach kilka kuczek, czyli konstrukcji przypominających drewniane altany budowane z okazji żydowskiego święta Sukot.

Zwykle przechodzimy obok podwórek będących częścią starych czynszówek obojętnie i bez zastanowienia. Nie zdajemy sobie sprawy, ile zachowało się w nich ciekawostek, sensacyjek i sekretów. Wydają nam się nieinteresujące, nieestetyczne, albo tak dobrze znane, iż sądzimy, że już nic ciekawego i nowego w nich nie znajdziemy. Nic bardziej mylnego!

Pamiętajmy o podwórkach. To właśnie one opowiadają historię naszego wielokulturowego i wielonarodowego miasta, a przede wszystkim pamiętajmy o ludziach, którzy tę historię i kulturę tworzyli i tworzą dzisiaj.

Beata Kamińska

ANDRZEJ SIKORSKI

Przy pompie kobiety robiły małe pranie, głównie zbierały się, żeby poplotkować. Przy praniu, wieszaniu, suszeniu, kwitło życie towarzyskie.

Mieszkaliśmy przy ulicy Żytniej 9 na Bałutach do 1940 roku. Na podwórku bawiliśmy się z dziećmi w różne zabawy. W domu mieszkały rodziny polskie i żydowskie. W tej żydowskiej dzielnicy Polacy byli mniejszością. Na naszym podwórku między innymi była znana wyliczanka, której nauczyły nas żydowskie dzieci: „Entele, pentele, siki siaj, rapete, papete”, lub „ene dułe like fake torbe borbe ósme smake”. Pamiętam też z dzieciństwa zabawę grupowe, taniec, kiedy braliśmy się za ręce i tańczyliśmy w kółku obracając się w lewo i prawo. Bawiliśmy się wszyscy razem.

Kiedy tworzono na Bałutach getto, musieliśmy się wyprowadzić. Zamieszkaliśmy we wsi Złotniki koło Poddębic. Po wojnie naszą ulicę Żytnią nazwano Ziemniaczaną. Nie mogliśmy jednak wrócić do naszego dawnego mieszkania. Ja i moje dwie siostry wróciliśmy do Łodzi, ale bez rodziców. W roku 1950 wróciłem na podwórko przy ul. Limanowskiego 161. To było moje drugie podwórko. Miałem wtedy 14 – 15 lat. Pamiętam je doskonale, wtedy dzieci i młodzież żyły głównie na podwórku. No, bo gdzie mogliśmy się spotykać? Na naszym podwórku była pompa, gołębnik, oczywiście wolnostojące toalety i komórki. Ponadto niesamowitą ciekawostką był dla nas pobliski zakład wytwarzający produkty gumowe, tzw. „gumówka” [Łódzkie Zakłady Obuwia Gumowego w Łodzi]. To były dalekie Bałuty w kierunku Żabiańca.

Dużo było podwórkowych atrakcji. Z utęsknieniem czekaliśmy na niedzielę, ponieważ tego dnia z przeciwległej „gumówki” dozorca pilnujący zakładów puszczał przedwojenne piosenki z płyt, przez wielkie głośniki nagłaśniające całą fabrykę, tzw. „gigantofony”. W tygodniu słuchaliśmy socrealistycznych pieśni, np.: „Budujemy nowy dom...”, a w niedzielę, kiedy w zakładach nie było władzy, sekretarza partii, dyrekcji i pracowników, słuchaliśmy przedwojennych piosenek. W niedzielę nie budowaliśmy planu sześcioletniego. Słuchaliśmy dwóch piosenek. Pamiętam słowa jednej: „Miluśka moja, Ty jesteś moją wiosną, dla Ciebie wszystkie kwiatki na szybach rosną. Miluśka moja, Ty jesteś moim kwiatem, więc mnie pocałuj, bo zależy mi na tem”.

Taka piosenka była atrakcją, bo radio w tym czasie w kamienicy miał tylko jeden mieszkaniec – szewc. Miał na imię Franek. Niedziela była tym dniem, kiedy można było się pobawić i posłuchać fajnych piosenek. Tańczyliśmy z dziewczynami na podwórku. One właściwie uczyły nas tańczyć – to było niesamowite.

Inną rozrywką na naszym podwórku były gołębie. Nasz sąsiad z kamienicy, starszy przyjaciel, gołębiarz o nazwisku Kuchciak, na komórkach miał ogromne gołębniki. Oglądaliśmy gołębie często, ponieważ gołębnik zrobiony był z drucianej siatki. Gołębiarz całymi dniami rezydował na dachu komórek. Dla nas wielką radością było popatrzeć, jak wypuszcza gołębie i jak wołaniem sprasza je z powrotem. One na jego głos przychodziły od razu do klatki. Wielką sztuką naszego przyjaciela – gołębiarza było polowanie na samotnego gołębia, który odbił się od innego stada i szybując chciał wrócić do swoich. Kuchciak wypuszczał swoje gołębie, one go otaczały i leciały wszystkie razem do naszego gołębnika. Kuchciak handlował gołębiami. Kiedy któryś z lokatorów chorował albo był w szpitalu, zabijał jednego ze swoich ptaków, łamał mu szyjkę i sprzedawał jako porcję rosółową. Na tym mięsie gotowało się zupę. Wtedy była bieda, wszystko było na kartki, mąka, cukier, a ugotować rosół to było wielkie wydarzenie. Dla nas już sam zapach gotującego się rosółu był atrakcją.

Pamiętam, wtedy u nas były dwa światy. Ta „gumówka” była wielką zmołą okolicy. Z komina fabryki wylatywała czarna sadza pokrywająca cały teren wokół zakładów. Ta sadza była wszędzie. Nie mogliśmy powiesić niczego na balkonie. Rekompensatą produkcji tej sadzy było to, że przy produkcji produktów gumowych potrzebna jest woda. Ta woda ochładzała maszyny albo produkty. „Gumówka” odprowadzała do pobliskiego rowu gorącą wodę. W sobotę po zakończeniu szychty [dnia pracy] zbieraliśmy tę wodę w wiadra i sprzedawaliśmy za jakieś grosze mieszkańcom naszej kamienicy. W naszym domu nie było wody, był tylko prąd, dlatego ludzie chętnie kupowali gorącą wodę. Zimna woda była w pompie, żeby mieć gorącą, trzeba było grzać. W sobotę i niedzielę cała kamienica myła się i wszyscy robili pranie.

Podwórko przylegało do ulicy Glinianej. Tam stał drewniany dom. Często chodziliśmy się tam bawić, tym bardziej że tam były króliki. Wtedy ulica Limanowskiego kończyła się na Żabieńcu, a do naszej kamienicy przylegało ogromne gospodarstwo rolne. Tam, gdzie teraz jest krańcówka [pętla], była bardzo urodzajna ziemia. Latem z kolegami zatrudniałem się tam przy żniwach. We wrześniu pracowaliśmy przy kopaniu ziemniaków.

W naszym domu Franek szewc miał lampowe radio. W sobotę, po fajrancie [po zakończeniu pracy], radio stawiał na parapecie, otwierał okno i wszyscy na podwórku słuchaliśmy audycji „Przy sobocie, po robocie”. Puszczaliśmy radio na cały regulator, to była rozkosz. Szewca Franka baliśmy się niezwykle. Umiał nam wprowadzić soboty radiem, ale był kierownikiem administracyjnym naszej kamienicy. Organizował zebrania lokatorów, dyżury przy „szajs pompie”, ale był wobec nas bardzo srogi i okrutny. Bił też i znieważał swojego syna. To było okropne. Używał ordynarnego, wulgarnego słownictwa.

Na nasze podwórko przyjeżdżał starszy mężczyzna na wózku na dwóch kółkach, który ciągnięty był przez małego konia albo osła. Krzyczał „Smot, smot” (szmaty), handlował też garnkami i czajnikami w ten sposób, że dawał je za szmaty. To był typowy handel wymienny. Przyjeżdżał do nas również szlifierz na rowerze. Miał szlifierkę i sztabkę, w którą uderzał, kiedy nadjeżdżał i krzyczał, ogłaszając swoją obecność. Ostrzył brzytwy i noże. Jego wizyta była wielkim wydarzeniem na podwórku. Przychodził też młody chłopak z gitarą i śpiewał przedwojenne piosenki. Mieszkał na Piwnej. Pamiętam z tamtego czasu jego piosenkę pod tytułem „Fabryczna dziewczyna”. Zaczynała się od słów „Co dzień o piątej rano, ryk syren budził ją, melodią rozkochaną...”, a refren brzmiał: „Nad murami szara mgła, silny wichur ją rozpina, co dzień do fabryki szła fabryczna dziewczyna”. Wśród tych wędrujących od bramy do bramy, od podwórka do podwórka rzemieślników, chodził również druciarz, który „cerował” drutem dziurawe garnki i dzbanki. Albo je lutował, albo łączył skorupy glinianych naczyń drutem. Takie naczynia były w tym czasie na wagę złota. Ten młody chłopak z gitarą śpiewał też piosenkę o druciarzu.

To były czasy, kiedy ludzie przyjaźnili się ze sobą, bratali się, dużo ze sobą rozmawiali i dyskutowali. Często zawierano przyjaźnie na całe lata. Domu już nie ma, a przyjaźnie zostały. Imieniny najczęściej obchodziło się przy stole wystawionym na podwórze. Bawili się głównie dorośli. Dzieci nie uczestniczyły w tych przyjęciach. Podglądaliśmy, jak nasi rodzice się bawią. Kiedy rodzice wychodzili „w gości”, dzieci oddawano sąsiadom pod opiekę.

Przy pompie kobiety robiły małe pranie, ale głównie zbierały się po to, żeby poplotkować. Przy praniu, wieszaniu, suszeniu kwitło życie towarzyskie. Pranie w zasadzie robiono w domu, a tylko płukano w zimnej wodzie przy pompie. Prano w wielkich kotłach stawianych na piecach węglowych używając tary.

Komórka była wymarzonym miejscem dla chłopaków do chowania swoich skarbów. Trzymano tam opał, ziemniaki owinięte w słomę, narzędzia. Na podwórku był również drewniany trzepak, ale mało bawiliśmy się na nim.

Służył raczej do wietrzenia pościeli i czyszczenia dywanów. Jeszcze w latach 50. na ulicach były „kocie łby” [rodzaj nawierzchni z kamieni polnych], nieczystości wylewało się do rynsztoka [otwartego kanału wzdłuż krawędzi chodnika na nieczystości]. Śmierdziało wszędzie.

Przyjeżdżali do nas jesienią chłopci z okolicznych wsi na furmankach. Zatrzymywali się w Aleksandrowie lub przy ul. Hipotecznej. Między Hipoteczną a Glinianą było wielkie pole gospodarza, a z drugiej strony była fabryka [Karola Teodora] Buhlego. Piękny pałacyk stoi do dzisiaj. Najwięcej wozów przyjeżdżało z sianem i słomą. W tej okolicy były cegielnie. Pracowały tam konie, które karmiono sianem, poza tym słoma i drewno potrzebne były do wypalania cegieł. Przywożono, szczególnie jesienią, do Łodzi owoce, ziemniaki, jajka i cebulę. Handlarze ze wsi często wjeżdżali na nasze podwórko.

Stałą tradycją na Bałutach było to, że kiedy odbywało się wesele, chrzciny czy inne huczne przyjęcia rodzinne, zawsze zapraszano na nie wodzireja. Wspomniany szewc Franek, który miał radio, znał wiele przedwojennych piosenek. Znał także dużo przyspiewek. Każda dzielnica, każda ulica albo dom miały swojego wodzireja. Zapraszano go na przyjęcie jako gościa specjalnego i goszczono z szacunkiem. Podczas wesela on jako pierwszy zanosił „100 lat” dla młodej pary. Wcześniej uczył drużny weselnych przyspiewek. Mówił, co i kiedy śpiewać. Kierował całym przyjęciem. Pamiętam jedną z jego przyspiewek: „Gdzie nie ma wódki i śledzi, tam Franek nie usiedzi”. Jeżeli była ładna pogoda, wesela urządzano na podwórku. Spraszano całą rodzinę i wszystkich sąsiadów z całej kamienicy. Ustawiano stoły, krzesła, przygotowywano dużo jedzenia i wódki. Jeżeli urządzano wesele na przedmieściu Łodzi, pożyczano na tę okazję wrota od stodoły. Kładło się je na ziemi i tańczyło się na nich. No, przecież jak można tańczyć na ziemi czy trawie? Wrota kładziono zamkiem do ziemi. Na weselach była też orkiestra: harmonista, skrzypek i bębnek. Jeden sąsiad nawet wynajmował swoje podwórko z wrotami na wesela. Nie było różnicy między tym co śpiewano na Bałutach, a tym co śpiewano na wsi. Bo przecież Bałuty to była wielka wieś. Dużo zwyczajów z kultury ludowej widocznych było w naszej dzielnicy.

Dzisiaj pojęcie sąsiedzkiej solidarności przeszło już do historii. Mieszkają w moim domu rodziny, o których ja nie wiem nic. Krótkie „dzień dobry” na korytarzu lub przed blokiem i to jest wszystko. Sąsiedzi, jeżeli dzwonią, to tylko interesownie. Jeszcze w latach 60. istniało pojęcie wspólnoty osiedlowej, dzisiaj już nie. Dzieci na podwórku nie spotykają się wcale.

MAGDALENA STARZYCKA

Miałam 8 miesięcy, kiedy Łódź zaczynała się nazywać Litzmannstadt. Świat, który pamiętam z dzieciństwa, to był świat okupacji hitlerowskiej.

Mieszkałam przy ul. Pabianickiej, przed wojną nazywała się Staszica. Łódź kończyła się na wiadukcie, za wiaduktem była Ruda Pabianicka. Mieszkaliśmy w trzecim, czwartym domu po lewej stronie. Podwórka związane były integralnie z kamienicą. Kamienica, w której mieszkałam, była trochę polska, trochę niemiecka. Część mieszkańców podpisało volkslistę i dlatego stosunki sąsiedzkie były bardzo różne. Była dyskryminacja i lęk lub cicha akceptacja. Na podwórku też to się widziało i czuło. Baliśmy się Niemców, znaków faszystowskich na ulicach i żołnierzy. Bałam się też młodych chłopaków z Hitlerjugend, których w mojej dzielnicy było bardzo dużo. Rodzice wysyłali mnie samą do sklepu. Miałam w ten sposób uczyć się samodzielności. Matka cały czas obserwowała mnie z okna. Jednego razu, kiedy wracałam ze sklepu, szedł za mną mundurowy. Spoglądałam na niego nieufnie i on zorientował się, że ja się go boję. Przeszłam na drugą stronę ulicy, a on poszedł za mną. Ze strachu zaczęłam biec, wpadłam do bramy i schowałam się za jej drzwiami. Skulona ze strachu czekałam w ukryciu na tego żołnierza. Nie przyszedł.

Mieszkaliśmy w kamienicy na strychu, bo w Łodzi wszystkich Polaków pozabawiono mieszkań i wyrzucano ich z domów. Z naszego mieszkania było widać tor kolejowy. Widziałam przejeżdżające pociągi z bronią na wschód. Widziałam też łódzkie getto. To było w 1942 lub 1943 roku.

W naszym domu mieszkała volksdojczka. Tak naprawdę to była Polka ze wsi. Była krawcową, a jej mąż był Niemcem. Moja mama korzystała z jej usług i czasami coś u niej szyła. Któregoś dnia poprosiła, żebyśmy – ja i moja matka – poszły do sąsiadki, która była Niemką. Mąż tej sąsiadki zginął pod Stalingradem. Poszłam tam z moją matką. Ku mojemu zdziwieniu ta Niemka zaczęła płynnie mówić po polsku. Syna tej kobiety znałam z podwórka. Miał na imię Hary i był młodszy ode mnie. Siedzieliśmy któregoś dnia razem na ławce na podwórku, majtaliśmy nogami i on powiedział „szue”, a ja powiedziałam „buty”. Długo sprzeczaliśmy się, aż w końcu powiedział „buty”. On nie mówił po polsku.

Dozorczynią w naszym domu była Niemka. Jej córka też sprzątała i wszystkie dzieciaki, które były na podwórku, podbiegły do niej i tupiąc wołały „Emka, Emka”. Ja byłam najmniejsza i najbliższej niej, więc dostałam ścierką po głowie. Ojciec zdenerwował się i poszedł do niej z pretensjami i awanturą, ale kiedy wrócił, przestrzegał mnie przed kontaktami z nimi.

W tej kamienicy mieszkała też polska rodzina. To byli bardzo biedni ludzie, mieli pięcioro dzieci. Któregoś dnia przyszli po mnie i mama pozwoliła bawić się z nimi. To były Ostatki, poprzebierani byli za diabła, Heroda i inne postacie. Siedzieliśmy w ich kuchni, ja siedziałam na skrzyni z węglem i obserwowałam ich zabawę.

Miałam różne podwórka w życiu. Po wojnie mieszkałam z rodzicami w domu ciotki na Julianowie. To był dom z ogrodem. Tam jednak zjechało się mnóstwo rodziny ze strony matki i nie sposób było mieszkać. Wyjechaliśmy na rok do Legnicy.

Gdy wróciliśmy do Łodzi, zamieszkaliśmy w kamienicy przy dawnej ul. 11 Listopada [1945-1994 Obrońców Stalingradu, od 1994 – Legionów]. To był 1949 rok. Mieszkałam tam od piątej klasy szkoły powszechnej do dziewiątej klasy, czyli drugiej licealnej. Pamiętam ten dom. To był bardzo ciekawy świat. Tam mieszkało bardzo dużo ludzi, widoczny był pookupacyjny tłok. Po drugiej stronie podwórka były pomieszczenia gospodarcze. Być może to były kiedyś stajnie, tak wyglądały. W takich garażach, dawnych stajniach też ludzie mieszkali. Pamiętam także mieszkające w piwnicach staruszki. Wspominam z tego czasu i domu tzw. Babkę. Ona chyba przed wojną była stróżką. Mieszkała w komórce pod schodami. Wszyscy lokatorzy domu zostawiali u niej klucze. Kiedy się do niej przychodziło, ona doskonale umiała wybrać odpowiednie klucze. To było coś niesamowitego, ponieważ ja pamiętam pęki tych kluczy u niej. Była gruba, chodziła w spódnicach, łachmanach. Pamiętam, że kiedyś poszłam do niej po klucze zimą i widok mnie przeraził. Do komóreczki wchodziło się bezpośrednio z podwórka, a drzwi wejściowe miały szklane okienka. Dozorczyni siedziała skulona przy kanoncce [rodzaj piecyka żeliwnego], zziębnięta. Miała bardzo trudne warunki życia i mieszkania. Na samym końcu podwórka stało coś dziwnego, taki dom z dykty, w którym mieszkała wieloosobowa rodzina biedaków. Oni również mieli straszne warunki.

To podwórko było długie, zakończone małym placikiem. I tylko na tym placiku pojawiało się słońce. Wszystkie zabawy dzieciaków odbywały się właśnie tam. Szczególnie, że na piasku stał wrak samochodu pancernego. Został tylko

szkielet pojazdu, opony wycięto na przykład na zelówki. Bawiliśmy się w Polaków i Niemców. Tam rozgrywała się wielka wojna podwórkowa. Kobiety wystawiały na ten nasz placyk krzesła, siedziały i robiły na drutach. Stare, młode, często z dziećmi. Placyk kończył się murkiem, a za murkiem był ogród warzywny, który ciągnął się aż do Ogrodowej. Zabrano nam pewnego dnia nasz placyk i to było dla nas nieszczęście. Na terenie tego ogrodu jest teraz żłobek.

Ludzie w kamienicy byli bardzo różni. Ta kamienica przylega do Teatru Powstania Warszawskiego. Jej właścicielem była jakaś kobieta, żona adwokata. W jednej oficynie naszej kamienicy była fabryka kolorowych wstążek do wieńców pogrzebowych. Kiedy je farbowano, koło nas w rynsztokach płynęła fioletowa woda. To była dla nas frajda. Puszczaliśmy tam łódki. Pamiętam sąsiadkę, która wychodziła na podwórko z kurą na smyczy. To było w moich oczach wielkie dziwactwo. Moja mama jej powiedziała, że „z kury psa się nie zrobi”, a ta kobieta odpowiedziała, że nigdy z tej kury nie zrobi rosółu, a ma ona u niej emeryturę, ponieważ tylko ona przeżyła z jej zniszczonego domu. Na pierwszym piętrze w oficynie mieszkali prawdziwi dozorczy. To już był awans społeczny. Mieli porządne mieszkanie. Uczęszczali na kurs dla analfabetów do mojej szkoły.

Na podwórku spotykali się wszyscy mieszkańcy kamienicy. Szczególnie w ciepłe dni kwitło życie towarzyskie. Pamiętam, jak mój młodszy brat jeździł po podwórku rowerkiem. Ja w tym czasie odrabiałam lekcje przy biurku, które stało przy oknie. Widziałam, jak dzieciaki biegają za nim i co chwila ktoś zmieniał się na siodelku. Rower był czymś niezwykle atrakcyjnym. Świetne zabawy były na trzepaku. Fikaliśmy tam „kozyłki”, a chłopaki głównie grali w piłkę. Rynsztoki na ulicy przykryte były metalowymi płytami i uwielbiliśmy po nich biegać. Fajnie dudniły.

Jesienią do kamienicy przywożono węgiel. Brama była wąska i trudny był do niej wjazd, więc zawsze słychać było nawoływania kierujących. Chłopi ze wsi przywozili kartofle. Każdy je miał w piwnicy w domu, pod podłogą. Przychodził też do nas ostrzyciel noży. Kiedy nadchodził, poznawaliśmy po metalicznym dźwięku. Przychodzili też ci, co szatkowali kapustę. Mieli zawsze ze sobą szatkownicę na plecach.

Nie było zażytych relacji między sąsiadami. Ludzie chyba nie mieli do siebie zaufania po latach wojny. W naszej kamienicy mieszkało bardzo dużo ludzi ze wsi i często odwiedzała ich rodzina. Pamiętam stojące na podwórku wozy z końmi, które miały łby w workach obroku. Przychodzili na nasze podwórko Cyganie, sprzedawali patelnie, ale raczej wystrzegaliśmy się ich. Rzadko odwiedzali nas muzycy. Czasami ktoś, kto umiał grać na harmonii.



wybór ilustracji: Panorama. Dodatek niedzielny „Republiki”, lata 30. XX wieku

MAGDALENA KWAŚNIEWSKA

Myszę, że osiedle tego rodzaju bardzo różniło się od śródmiejskich podwórek. Nie było tej wspólnej przestrzeni, na której spotykaliby się wszyscy mieszkańcy.

[W czasie wojny rodzina autorki mieszkała w Krakowie, dokąd została wysiedlona w 1939 roku. Po powrocie do Łodzi, w 1945 roku podjęła starania o odzyskanie domu przy ul. Tkackiej.]

Mieszkałyśmy z mamą u cioci tylko parę tygodni, więc trudno powiedzieć, że to było „moje podwórko”. Bywałam jednak potem u cioci często i słuchałam jej opowiadań. Sama też mogłam to i owo zaobserwować. To podwórko miało swój klimat. Ciocia mieszkała przy Sienkiewicza 34 w oficynie.

Tak naprawdę było to typowe łódzkie podwórko z dwiema oficynami, dosyć szerokie i długie, brukowane „kocimi łbami”. Przez środek biegł rynsztok, do którego spływała brudna woda z kuchennych zlewów. W końcu podwórza stało parę „sławojek” [rodzaj wolnostojącej drewnianej toalety, inaczej: wychodek, ustęp], był też trzepak i jakieś rachityczne drzewko. Kanalizacji na tej działce nie było. Z podwórzowym trzepakiem wiązała się dziecięca przygoda mojego ojca. Znam ją z opowiadania cioci: chłopcy bawili się w złodziei i policjantów, mój tata „robił” za złodzieja i miał być powieszony. Kiedy już stał pod trzepakiem, z pętlą na szyi, ulicą przejeżdżała, trąbiąc, straż pożarna (konna). „Oprawcy” pobiegli ją oglądać, a ojca zostawili pod trzepakiem z pętlą na szyi. Wyratowały go sąsiadki. Chociaż ojciec wychował się na tym podwórku, nie dane mi było słuchać jego opowiadań. Był oficerem i zginął w czasie wojny. Podwórze posesji, pewnie jak większości łódzkich podwórek, było miejscem spotkań wszystkich mieszkańców oficyn. Każdy lokator musiał tędy przejść. Było tam trochę dzieci, ale raczej starszych ode mnie, stanowiących zgraną paczkę. Najbarwniejszą rodziną, teraz powiedziano by patologiczną, byli mieszkańcy prawej oficyny, vis a vis cioci. Ci ludzie prowadzili głośne życie, nie krępując się wcale tym, że wszyscy słyszą, co się u nich dzieje. On nie wiem, czym się zajmował, ona była znaną w Łodzi złodziejką tramwajową, mówiono o niej „złota rączka”. Z racji swojego zawodu często lądowała w więzieniu i przeważnie tam rodziła kolejne dziecko oddawane pod opiekę ojca. On brał sobie opiekunkę do dzieci i nie tylko. Ona wracała po jakimś czasie i rozpra-

wiała się z tą parą. Dziewczyna uciekała w popłochu, a on zostawał i zaczynała się rozprawa na noże. Często dosłownie. A potem wszystko wracało do normy – libacje, miłość i wyskoki po pieniądze (do tramwaju) itd. Wszystko przy otwartych oknach i głośno. W końcu lat 50. wyjechali za granicę, przysłali nawet pozdrowienia z Paryża dla wszystkich lokatorów.

Wreszcie w grudniu, tuż przed Świętami przenieśliśmy się na Tkacką i odtąd przydomowy ogród, ulica Tkacka i sąsiednie ulice stały się „moim podwórkiem”. Po zimowych miesiącach, w których właściwie poza chodzeniem do szkoły nigdzie nie bywałam, po latach spędzonych w miejskich murach, nastająca wiosna 1946 roku była dla mnie niesamowitym zjawiskiem. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam odżywające na wiosnę rośliny. Ogród był duży. Od frontu, wzdłuż ogrodzenia z siatki rosły ozdobne krzewy: jaśminy, tawuły i inne, z lewej strony wzdłuż płotu sąsiadów, wtedy jeszcze drewnianego – trzy drzewka bzu. Za podwórkiem znajdował się ogród pełen drzew owocowych. Między drzewami rosły krzewy porzeczek i agrestu. Na półokrągłym placu babcia uprawiała pomidory i truskawki. Główne ścieżki mama obsadziła szczypiorkiem. Z czasem to wszystko stało się dla mnie normalnością. Idąc do szkoły, wstępowałam do ogrodu po trochę owoców – porcje na każdą przerwę.

Tamtego lata spacerowałam samotnie po ulicy, zwiedzając okolicę. Nie miałam towarzystwa. Jedyna koleżanka, Lusja, wyjechała do rodziny. Chłopcy spod 10. biegali, tocząc fajerkę [żeliwną obręcz z płyty kuchennej] specjalnie wygiętym pogrzebaczem (szał tamtego roku). Bardzo mi się to podobało. Ale w domu nie chciano słyszeć o takiej zabawie, bo „dziewczynce nie wypada”. Któregoś dnia spotkałam dziewczynkę tak jak ja samotnie chodzącą po ulicy. Miała wózek dla lalek podobny do prawdziwego wózka dla dzieci. To przyciągnęło moją uwagę. Jasia miała piękną lalkę z zamykanymi oczami, jak się ją kładło. To było marzenie wszystkich dziewczynek. Szybko zaprzyjaźniłyśmy się z Jasią.

W nowym roku szkolnym Jasia poszła do pierwszej klasy, też na Narutowicza. Jeździliśmy teraz razem. Ze szkoły wracałam z koleżanką z klasy – Lusią. Mieszkała przy ul. Mostowej. Powrót zajmował nam dużo czasu. Zatrzymaliśmy się na ślicznym zadbanym skwerze koło sądu, teraz tam stoi teatr [Teatr Wielki]. Dalej był Park Staszica i górka do zjeżdżania. Latem biegano się w górę i w dół, zimą zjeżdżano na butach. Po drodze, niedaleko Wierzbowej był sklep papierniczy. Tam można było kupić kolorowe obrazki, kartony z lalczkami do ubierania, farby w guziczkach (zawsze brakowało nam jakiegoś koloru), które przyklejało się do tekturowej paletki czy kalkomanii. Wszystko razem trwało czasem i dwie godziny i często dostawałam burę.

W brzydkie dni bawiliśmy się w domu w przebieranki i bale. Wyciągałyśmy z szafy, za pozwoleniem jej mamy, przedwojenne suknie balowe i wieczorowe i przebierałyśmy się, podciągając jakoś te kreacje, bo oczywiście były dla nas za długie. U Lusi był patefon szafkowy. U góry miał talerz pod płyty, nakręcany korbką, pod nim była dwudrzwiowa szafka skrywająca wzmacniającą tubę. W takich razach puszczałyśmy płyty i był bal.

Kiedy w 1950 roku zakładano kanalizację w ulicy, wszystkim dzieciom bardzo się to podobało. Rozkopano jezdnię, a wybraną ziemią obsypywano drzewa prawie do konarów. Można było bez trudu buszować po drzewach. W ogrodach zbieraliśmy zgniłe owoce i wsypywali do papierowej torebki. Przewiązywało się to sznurkiem i starsi chłopcy kładli torebkę na gałęzi drzewa. Na końcu sznurka zawieszało się ładną gruszkę czy jabłko. I czekaliśmy ukryci za siatką obrośniętą dzikim winem, aż ktoś to złapie. Wtedy torebka spadała mu na głowę. O dziwo, często ludzie się na to nabierali.

Naszym zainteresowaniem cieszył się też Park 3. Maja. Leżał wyżej niż ulica. Na początku, przy Kopcińskiego, tuż przed szlabanem zabezpieczającym przejazd kolejowy, schodził sporą skarpą do ulicy. Trochę dziki, nikt tam nie sprzątał liści, jesienią leżały i na trawnikach, i na ścieżkach. W zimie szłyśmy tam z sankami. Zjeżdżałyśmy na stronę torów, najbliższy był od dawna nieużywany. Zjeżdżałyśmy też na ulicę Małachowskiego. Chłopcy zbudowali tam małą skocznnię, może 12-centymetrową. Podpuszczałam Lusię, żeby przez to zjechała na sankach. „To ty zjedź” – powiedziała. Nie wypadła inaczej. Żeby chociaż miała tyle rozumu i stanęła na płozach! A ja siedziałam. Tak mnie zarzuciło, że na chwilę odebrało mi głos i okropnie stłukłam kość ogonową.

W tamtych latach (1945-1952) wielu rzeczy nie kupowało się w sklepie, tylko od handlarek. Rano mleko przynosiła mleczarka, oczywiście do tych, którzy zamawiali. Wiejskie gospodynie nosiły pyszny świeży twaróg, śmietaną, masło w obłych osełkach. Latem przynosiły leśne owoce. Jarzyny kupowało się u ogrodnika. Często po powrocie ze szkoły biegłam po włoszczyznę czy coś na surówkę. Ogrodnik marchewkę czy buraczki lub koperek wyrwał przy mnie z ziemi. Od czerwca przez całe lato korzystało się z własnych owoców: wiśni, czereśni, agrestu i porzeczek, a potem z jabłek, śliwek i gruszek. Po większe ilości ogórków, kartofli czy kapusty chodziło się na Wodny Rynek (późniejszy plac Zwycięstwa). Chodziłam wtedy z babcią, żeby jej pomóc to przynieść. Bardzo lubiłam te wyprawy. Przebierało się w stertach ogórków czy innych jarzyn i wybierało te najładniejsze. Kartofle na zimę rolnicy przywozili jesienią do domu konnymi wozami.

Tak gdzieś w piątej czy szóstej klasie zainteresowałyśmy się Indianami. Z zapałem czytałyśmy książki Karola Maya i inne. U nas w ogrodzie, w samym końcu, zbudowałyśmy szałas z gałęzi. Nie słyszałam nigdy, żeby Indianie mieszkali w szałasach, ale innego budulca nie miałyśmy. Od cioci Olgi dostałam piękny proporzec z głową Indianina w pióropuszu i o ten proporzec toczyłyśmy walki z chłopcami chcącymi go nam odebrać. Wtedy nie było strojów indiańskich w sklepach tak, jak teraz. Kombinowałyśmy, jak się dało. Do „narciarskich” spodni, jakie wtedy nosiły w zimie dziewczynki, przyszywałyśmy frędzle od firanek. Nie bardzo przypominały indiańskie, ale cóż, innych nie miałyśmy. I można je było potem odpruć bez szkody dla spodni. Prosiłam babcię o kupowanie na rynku kogutów zamiast kur, potrzebne mi były pióra z ogona (wtedy kur nie kupowało się w sklepie). Zrobiłam z nich całkiem ładny pióropusz. Same robiłyśmy łuki i strzały z gałęzi bzu czy leszczyny.

Wszystkie dzieci z początku Tkackiej jednoczyły się w Ostatki. Każdy przygotowywał jakieś przebranie we własnym zakresie. Kostium robiło się z gniecionej bibuły, z kartonu. Czasem dostałam od mamy jakiś materiał na sukienkę, mogłam z tego zrobić krynolinę. Ale miało to być zrobione tak, żeby materiał został nienaruszony. Do tego była jakaś bluzka ze śmiesznym żabotem i bibułkowy kapelusz. Buzie wysmarowane maminymi kosmetykami, a czasami po prostu zwykła farba. A potem chodziliśmy od domu do domu ze śpiewem i wygłupami.

A potem skończyłyśmy podstawówkę, spoważniałyśmy, każda poszła do innej szkoły i spotykałyśmy się rzadko. Z czasem już tylko na imieninach.

Myszę, że osiedle tego rodzaju bardzo różniło się od śródmiejskich podwórek. Nie było tej wspólnej przestrzeni, na której spotykaliby się wszyscy mieszkańcy. Chociaż wtedy nie zdawałam sobie sprawy z przyczyn takiego stanu rzeczy, widziałam różnice: domy bardzo się różniły poziomem zagospodarowania. Te, z których wysiedlono w 1939 roku mieszkańców, wyglądały biednie. Te, lojalnych wobec Niemców rodzin zachowały dawny poziom. Dwie robotnicze posesje były bardzo skromne. Najlepiej prezentowały się nowe domy, tam ludzie byli najzamożniejsi. Mieszkańcy każdej z grup trzymali się razem.

Dla dzieci te podziały nie były już takie ważne. Dzieliła je raczej szkoła. Większość chodziła do szkoły rejonowej przy Kopcińskiego i to je zbliżało, jednoczyło. A moje bliższe koleżanki i ja chodziłyśmy do innych szkół. W tej sytuacji nie było sąsiedzkich pogaduszek na ulicy, co najwyżej odwiedzano się w domu, siadywano w ogrodach. Z czasem różnice się zacierały, ale i tak nie było takiego klimatu, jak na podwórkach w kamienicach.

MAŁGORZATA KASPRZAK

Kiedy przyszłam na świat, była taka moda na podwórku, że jak się w rodzinie dziecko urodziło w danym budynku, tam było sadzone drzewo. I to moje drzewo rośnie na środku podwórka do tej pory. To jest klon.

Urodziłam się w domu przy ulicy Ogrodowej 26. Tu mieszkałam 22 lata. Moi pradziadkowie przyjechali do Łodzi spod Wypychowa. Dziadek dostał pracę u Poznańskiego i mieszkanie w pobliskich famułach [domy dla pracowników zakładu i ich rodzin]. Całe moje życie związane było z tą ulicą i okolicą. Moi rodzice poznali się w Stowarzyszeniu Śpiewaczym im. Stanisława Moniuszki, które też miało siedzibę przy ul. Ogrodowej. Chrzczone byliśmy w Kościele św. Józefa, na Starym Cmentarzu leżą wszyscy nasi przodkowie.

Uczęszczałam do Szkoły Podstawowej nr 23 przy ulicy Gdańskiej. Później chodziłam do Liceum Pedagogicznego przy Smugowej. Siostra mojej babci pracowała w tkalni jeszcze za czasów Poznańskiego. Mój dziadek i babcia też tu pracowali. Babcia pracowała w kantorku przy wykończalni. Mój ojciec pracował w fabryce Poznańskiego przy maszynach analitycznych. Przed wojną mieszkali w domach przy Ogrodowej – poza Polakami – Żydzi, Rosjanie i Niemcy.

Przy Ogrodowej 26 było 295 mieszkań. Pamiętam też ludzi mieszkających w suterrenach. W latach 70. z tych z suterren zaczęto robić komórki. W tym domu mieszkali też moi dziadkowie z córką, młodszą siostrą mojej matki. W innej klatce mieszkała siostra mojej babci. Pamiętam z dzieciństwa przepiękne klomby różane, lipy, alejki i ławeczki na podwórku, na których przez całe lato siedzieli nasi sąsiedzi. Co roku wczesną wiosną przycinano topole. Pamiętam przepiękny plac zabaw dla dzieci. Opiekował się nim gospodarz, który miał swoją służbówkę przy bramie.

O godzinie 23.00 brama była zamykana. Przy niej był dzwonek do służbówki, a za każde otwieranie bramy dozorca dostawał parę groszy. Pamiętam ulicznych grajków, bryczki, które jeździły po ulicy. Moi rodzice w piątek po pracy jechali na Bałucki Rynek, bo tam zawsze można było kupić za 5 albo za 10

groszy kalafiora i kapustę. Warzywa na rynek przywozili rolnicy, od nich bezpośrednio kupowało się to, co było potrzebne. To były bardzo zdrowe warzywa i owoce, rosły na naturalnych nawozach. Kupowali też młodego kogutka. Trzymaliśmy go w komórce, w sobotę tato zabijał go, a w niedzielę był rosół.

Przed Wszystkimi Świętymi był taki zwyczaj, że kupowało się kapustę, szatkowało się ją na wypożyczonej szatkownicy, a później w drewnianej beczce deptało się kapustę do kiszenia. To było święto w domu. Beczki ustawiało się przy każdym mieszkaniu, na korytarzu.

Na Wielkanoc ksiądz przychodził do mieszkania mojej babci święcić pokarmy. Na długim stole przykrytym białym obrusem stawiało się szynki, kiełbasy, chleby, jajka, chrzan – i ksiądz święcił wszystko.

Przed każdymi świętami mama szła nam nowe sukienki. Zawsze musiałyśmy na święta mieć coś nowego na sobie. To było wspaniałe. Tata przynosił z pracy ścinki materiałów, z tego mama szła. Wesela, komunie czy chrzciny organizowaliśmy w domach. Na te przyjęcia zapraszaliśmy całą rodzinę i najbliższych sąsiadów. Teraz tego już nie ma.

W domu przy ulicy Gdańskiej 1 mieszkali biurowi pracownicy z Poznańskiego. Tam był wyższy standard mieszkaniowy, były toalety w mieszkaniach. U nas nawet gazu nie było i do tej pory nie ma. Nasze podwórko było podzielone przez to, że sąsiadowało z tą kamienicą komórkami. Podwórko od strony ulicy Gdańskiej nazywaliśmy Poznań. Gdy był upał, nasz gospodarz o czwartej rano polewał podwórko, chodniki i piaskownicę wodą. Podlewał też klomby. Zawsze było bardzo czysto. Miałam dużo rówieśników na podwórku. Graliśmy najczęściej w „klasy”. Kredą przyniesioną ze szkoły rysowaliśmy na chodniku kwadraty do skakania. Bawiliśmy się też „w berka”, skakaliśmy na skakance.

Była u nas taka tradycja, że póki dzieci nie skończyły 18 lat, jadły w kuchni. Dorośli jedli w pokoju, nie mogliśmy podsłuchiwać ich rozmów. Wszyscy pomagali sobie, wszyscy się znali, byli ze sobą bardzo zżyci. W obrębie podwórka toczyło się całe nasze życie. Miałam wspaniałych sąsiadów. Wszyscy się znali, szanowali, mieliśmy świetny kontakt ze sobą. Pomagaliśmy sobie bezinteresownie, odwiedzaliśmy się, sąsiadki pilnowały dzieci innych mieszkańców, a przede wszystkim było bezpiecznie. Teraz to jest inny świat i inni ludzie. Sąsiedzi nie mają ze sobą żadnego kontaktu. Do dzisiaj często wspominałam mój rodzinny dom przy Ogrodowej. Kiedy przejeżdżam koło niego, serce mocniej mi bije. Ale to już nie to miejsce, co kiedyś.

SARA SZYSZKO

**Przyszłam na świat w drewniaczku na
Limance na Bałutach. Zawsze zazdrościłam
innym dzieciom, że urodziły się w szpitalu.
Ja urodziłam się w drewnianym domku.**

Moje wspomnienia sięgają lat 1953 – 1954. Jestem fanką Łodzi. Widzę siebie, jak wędruję z rodzicami bałuckimi ulicami. Dawna Łódź to było biedne miasto. Kamienice mieszały się z drewniakami. Uczyłam się czytać na tabliczkach z nazwami ulic. Mając 5 lat czytałam świetnie. Stałam się wtedy wielbicieleką nauki i książek.

Przy Limanowskiego były kamienice, ale przy Piwnej, Bazarowej w większości stały drewniak. Na ulicach wszechobecny był dym. Dymity kominy. Jezdnie były z „kocimi łbami”. Wtedy nie było dużo samochodów, jeździły fury, dorożki, na ulicy słychać było turkot. Po obu stronach jezdni były rynsztoki, do których wylewało się nieczystości. Na ulicach stały saturatory [wózki do produkcji wody gazowanej], tam można było kupić wodę sodową z sokiem albo bez soku. Te lepsze wózki miały parasol. Zimą jeździły po ulicach fury z węglem.

Z sentymentem wspominam niewielkie sklepiki osiedlowe. To były sklepy rodzinne, w których była sympatyczna atmosfera. Zawsze dzieciarnia mogła dostać w nich gratisowego lizaka. Na Bałutach mieliśmy specyficzny język, zapożyczony z niemieckiego i rosyjskiego. To był taki nasz, bałucki język. Np. nie na skróty, ale „na szagę”, zawsze – „cinglim”, „zawdy”.

Ulice nie były martwe. Tętniły życiem, pełne zarówno dzieci, jak i dorosłych. Na podwórkach zjawiali się domokrażcy. Jesienią wjeżdżały wozy z ziemniakami, jabłkami, kapustą, cebulą i ze słomą. Zawsze jesienią była wymiana słomy w siennikach. To była wielka frajda dla dzieci. Starą słomę paliło się na podwórku, do niej rodzice wkładali ziemniaczki, kiełbasę czy kaszanę. To było pyszne jedzenie. Panowie pili piwko, a dzieci oranżadę (żółtą albo pomarańczową). Na podwórko zagląдали też czyścibuty, szewcy, którzy na poczekaniu reperowali buty, ostrzyciele noży i nożyczek. Na ulicach stały wagi z tabliczką „Czy sprawdziłeś dzisiaj swoją wagę?”. Ulicami chodziły kapele, muzycy grali na harmonii czy gitarze, chodziły Cyganki, które śpiewały, tańczyły i oczywiście wróżyły.

Zaraz po szkole robiło się szybciosem lekcje, a potem było podwórko. Gra-
liśmy „w berka”, „w klasy”. Skakaliśmy na skakance. Zimą gromadą cho-
dziło się na sanki na górkę w Parku Śledzia [Parku Staromiejskim] lub na
górkę i pola za ul. Wrześnieńską. Wracaliśmy cali mokrzy, ale szczęśliwi. Nikt
o dziwo nie chorował. Rodzice tylko 1 września prowadzili dzieci do szkoły.
Potem dzieci nikt nie niańczył. Sami organizowaliśmy sobie czas. Lojalność
i sztama były między nami od dziecka.

Gdy kończył się rok, o dwunastej w nocy zawsze przychodzili do nas sąsie-
dzi. Mężczyźni przynosili piersióweczki. Nigdy nie żegnaliśmy starego roku
sami. Podobnie było w drugi dzień Wielkanocy. Sąsiedzi przychodzili z bu-
teleczkami, żeby się pokropić i znowu była okazja, żeby się razem napić.
W sobotę wielkanocną u nas w domu rozkładało się wielki stół, wszyscy są-
siedzi (nawet ci z kamienicy) przynosili do nas święconki, przychodził ksiądz
i święcił pokarmy. Na stole musiało zmieścić się 30 koszyczków. W drugi
dzień świąt sąsiedzi znowu przychodzili z buteleczkami i razem wszyscy
biesiadowali. Sąsiedzi spotykali się też w drugi dzień Bożego Narodzenia.

Moje podwórko podzielone było na dwie części. Za furtką była trawa, kur-
niki, gołębniki. Mój tata hodował tam świnkę i raz w roku było świnio bicie.
Mieliśmy dwie piwniczki. Jedną na wędzoną wędlinę, boczki i mięso, drugą
na warzywa i owoce. W nocy kwitł handel wymienny między wsią a Łodzią.

Gdy było wesele mojej siostry i moje (mieszkaliśmy w drewniaczku przykle-
jonym do kamienicy), wszystko wyniesione było na strych, na dole tańczy-
liśmy i tam była też kuchnia. W mieszkaniu naprzeciwko nas też wszystko
było wyniesione, ustawione były stoły, przy których siedzieli sąsiedzi i ro-
dzina. Na weselu był wodzirej, który śpiewał w chórze kościelnym. To on
wyciągał gości węzem na podwórko. W imieniny i święta spotykała się u nas
cała rodzina i sąsiedzi. Na Bałutach było bezpiecznie, ale tylko dla nas, tam
swój swojego nie ruszył.

Na podwórku była studnia z pompą na cembrowinie. Kobiety podczas na-
bierania wody w wiadra dużo ze sobą rozmawiały, plotkowały. Tu kwitło
życie, tu odbywały się spotkania towarzyskie, wisały sznurki z praniem. Na
podwórku była też pralnia w niskim budynku. Tam kobiety trzymały swoje
balie i tary. Pod kotłem paliło się ogień i grzało wodę w tym kotle. W Łodzi
było wtedy dużo magli. To były idealne miejsca plotek dla gospodyń. A do
łaźni jeździłam raz w tygodniu. Na co dzień kąpałam się w małej balii.

ELŻBIETA SZYLIN

To było podwórko na cztery pory roku, na każdy dzień.

Rodzice mieszkali przy ulicy Piotrkowskiej 87. Mój tata urodził się tam w 1923 roku, a ja najprawdopodobniej urodziłam się w tym samym miejscu co ojciec – w 1952 roku. To było bardzo ciekawe podwórko, z przejściem na aleję Kościuszki. Tam był ogródek, a z naszego podwórka widać było SPATiF [klub Stwarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu]. Moi rodzice wygospodarowali nam na strychu pokoik. Wieczorami oglądaliśmy ludzi, jak wychodzili ze SPATiF-u i kończyli jeszcze zabawę pod jabłonkami w naszym ogródku. Nasz ogródek był znany w tej części Piotrkowskiej, ponieważ nasz dozorca, pan Kozłowski, wylewał tam wodę i zimą było wspaniałe lodowisko, lubiane przez wszystkie dzieci. W tym ogrodzie rosły bardzo ładne jabłonki i grusze.

„Pod siódmkami” [Piotrkowska 77] była większa górka i tam można było zimą zjeżdżać sankami. To było podwórko na cztery pory roku, na każdy dzień. Bardzo ładne podwórko, z przodu rosły piękne bzy, był trzepak oczywiście, na którym spędziłam całe dzieciństwo. No, bo czy mogło być podwórko bez trzepaka? Podwórko na noc było zamykane, o dziesiątej dozorca zamykał bramę.

Moi rodzice w tym domu prowadzili plisowanie. Dziadek mój był jednym z pierwszych albo pierwszym plisownikiem w Łodzi. Początkowo był tkaczem, ale wyszedł z tej łódzkiej mody tkaczowej, przebranżowił się, kupił maszyny w Wiedniu i założył punkt plisowania. Mój tata też był znanym plisownikiem. Mieszkaliśmy w małym mieszkaniu, w którym wydzielona była część warsztatowa. Tam pracował ojciec. W Izbie Rzemieślniczej był ekspertem od plisowania, był dobrym fachowcem.

Na podwórku spędzałam mnóstwo czasu. Jeździłam na rowerze; kilometry robiłam na nim. Najważniejszy był dla nas, dzieciaków, trzepak. Poza tym bawiliśmy się często w ogródku. Studni na naszym podwórku nie było, był natomiast rynsztok, a w części końcowej podwórka był kran. Odkręcaliśmy wodę z tego kranu do rynsztoka, puszczałyśmy w nim patyczki i słomki na wyścigi. Toalety były na podwórku. Pralnia też była w oddzielnym budynku, na zewnątrz za garażami.

W kuchni u nas w domu przez długi czas był piec kaflowy, w pokoju też. Później mieliśmy ogrzewanie centralne. Myśmy mieli telefon jedyni w kamienicy i dużo sąsiadów przychodziło do nas zatelefonować. 241 43 – to był nasz numer telefonu, cały czas go pamiętam. Mama nie była z tych kobiet, co to chodziły „po plotkach” i „po sąsiadkach”. Dzięki plisowaniu finansowo nam się działo dobrze i w związku z tym też nie chcieliśmy wszystkiego sąsiadom pokazywać. Ale ogólnie byliśmy lubiani w domu i na podwórku. Nie było zazdrości tylko normalne traktowanie.

W oficynie naprzeciwko mieszkał redaktor z „Expressu Ilustrowanego” – Jerzy Nowakowski. To była bardzo znamienna postać w Łodzi, dużo ludzi go znało, chodził w wielkiej pelerynie i traktował wszystkich bardzo z góry. Spacerował z dwoma pieskami i robił wielkie wrażenie. Pół świątka artystycznego Łodzi u niego bywało. Kiedy z siostrą podrosłyśmy trochę, to zapraszał nas na cielęcinkę i tokaja. Tata nie zawsze był z tego zadowolony. Oglądałam u niego wspaniałe rzeczy. Miał serwetki takie, jak są w kawiarniach. Ludzie często rysowali na nich, np. Tuwim. Miał cały zbiór tych serwetek z rysunkami i zapiskami. Wieczorem zawsze było u niego otwarte okno. Nowakowski stawał w nim z tym swoim brzuszkiem, wyciągał skórkowy pasek do ostrzenia i ostrzył w oknie brzytwę. Zagadywał moją mamę, mówiąc: „Pani Ireno, Pani znowu dzisiaj taka piękna”, a mama skrzepowana zamykała okno i chowała się przed nim.

Następnym ciekawym sąsiadem był pan Vogt [Mieczysław], ten co zrobił film dokumentalny o pięcioraczkach z Gdańska [wspólnie z Marylą Wiśniewską, „Pięcioraczki”, 1972]. Był filmowcem, mieszkał z żoną. Byli chyba Żydami. Miał córki Gizelę, Sylwię i Henrykę. Mieliśmy z nimi poprawne kontakty. Nie widziałam, żeby obchodzili żydowskie święta, nie obnosili się ze swoim wyznaniem. Takie były czasy. Jak wspominał mój tata, on z kolegami bawił się na podwórku, żydowskie dzieci siedziały w domu i uczyły się. Nie miały dużo czasu na zabawę.

Niedziela była szczególnym dniem w tygodniu. Chodziliśmy na obiad do „Grandki”, Savoyu czy Tivoli przy Tuwima. W ogródku Tivoli były tańce, grała orkiestra i można było świetnie się bawić. Piotrkowska była promenadą, trzeba było przejść się po niej parę razy, spotkać znajomych, pokazać się, iść do cukierni. Była to ulica handlowa, pełna sklepów i warsztatów usługowych. Tam wszyscy prawie robili zakupy i dlatego do nas często przychodził ktoś z rodziny, kto właśnie był na Piotrkowskiej, żeby skorzystać z toalety lub na herbatkę.

Podwórko to było idealne miejsce do budowania sąsiedzkiej wspólnoty.

Najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa związane są w podwórkiem przy ulicy Tuwima 102, dokąd moi rodzice przenieśli się z Chojen. To było w 1959 roku. Miałem wtedy dwa latka, ale swoje podwórko pamiętam z początku lat 60. To było bardzo ciekawe, klasyczne podwórko, bo zabudowania były pokolejarskie. Widoczne są one na zdjęciach satelitarnych robionych w 1940 roku przez Niemców. To dawne skrzyżowanie Kopcińskiego i Tuwima. Ze względu na budowę wiaduktu przeprowadziliśmy się później na Dąbrowę, do bloków.

Okoliczne podwórka miały połączenia z przestrzeniami ogrodowymi. Nasze podwórko nie było takim klasycznym ogrodem, było placem pomiędzy torowiskiem, bardzo rozległym, właściwie niezabezpieczonym. Myśmy jako dzieciaki po tym torowisku buszowali. W pobliżu stały wagony, z których rozładowywane były różne towary, na przykład węgiel. Obok, w sąsiedztwie naszego domu, były magazyny. Pamiętam również pracujących ciągle przy podnoszeniu szlabanów pracowników kolei – i to tak na dwie ręce. Co chwila przejeżdżały pociągi z Fabrycznej albo na Fabryczną [dworzec Łódź Fabryczna], był duży ruch na ulicy Kopcińskiego i ulicy Tuwima, po której jeździł tramwaj.

Nasze podwórko miało swoją studnię. Nie było kanalizacji, wychodki były na zewnątrz. W naszym mieszkaniu był zlew. Do mycia brało się dużą miskę lub cynkową wannę, grzało się wodę w piecach węglowych i dzieciaki w ten sposób myły się. Po dzieciakach myli się starsi. Studnia na podwórku była bardzo użyteczna, była zadaszona. Na podwórku rósł duży kasztanowiec. Stoi tam do tej pory. Podwórko było fajnym miejscem dla dzieciaków, bo kryło liczne komóreczki. W nich hodowano króliki, drób, niektórzy z mieszkańców hodowali gołębie. Na podwórku były też kacuszki, kurczaczki. Pyszny był rosół z gołębia, ze skórki królika było futerko na czapkę, z mięsa pasztet. Z okolicznych trawników zbieraliśmy mleczne dla królików. Lubiliśmy doglądać je i opiekować się nimi. Kiedyś na podwórkach sadzono owocowe drzewa – grusze, śliwy, orzechy lub jabłonie, uprawiano m.in. marchew, cebulę, ziemniaki, buraki. Każdy mógł mieć swoją grządkę, dbać o nią i mieć swoje świeże warzywa.

W naszym domu mieszkało pięcioro dzieci. Buszowaliśmy po bardzo dużych ogrodach po drugiej stronie ulicy. Tam były bardziej luksusowe domy pracowników kadry kierowniczej elektrowni miejskiej. Mieli przestronne mieszkania, ze świetnymi meblami. Olbrzymie to były dla nas przestrzenie. Na nas, przyzwyczajonych do jednoizbowych mieszkań, robiło to wielkie wrażenie. U nas kuchnia oddzielona była zasłonką od części sypialnej. Mieliśmy jeden pokój z piwniczką wykopaną w ziemi, pod podłogą. Tam trzymało się węgiel i ziemniaki. Nie przechowywaliśmy żywności, jadło się na bieżąco. Matka robiła zapasy na zimę, robiła mnóstwo weków [stoje ze szklaną pokrywką, uszczelką i sprężyną]. Kisiliśmy pomidory, buraki, kapustę, ogórki.

Dla nas strefa między ulicą a podwórkiem wiązała się z różnymi zabawami. Kręciliśmy metalowe koła bez szprych, budowaliśmy w rynsztokach tamy, w czasie ulewy robiliśmy na nich rozlewiska. Pomimo, że mieszkaliśmy w mieście, mieliśmy bliski kontakt z naturą. Dzieci miały kontakt ze zwierzętami od wczesnego dzieciństwa. Ludzie przeprowadzając się do bloków, przenosili swoje zwyczaje podwórkowe do nowego miejsca zamieszkania. Klatka w bloku była jak podwórko. Wszystkich się znało.

Pamiętam z dzieciństwa ostrzycieli noży i zbieraczy szmat, pamiętam ich nawoływania: „Szmaty, szmaty skupuję”. Sprzedawali je później w skupie. Ze szmat produkowano papier. Wtedy ludzie zbierali butelki, puszki, makulaturę – wszystko sprzedawano w skupach, odzysk był stuprocentowy. Po podwórkach chodzili też szklarze. Często osady okienne na kit przy przeciągu lub kłótni sąsiedzkiej wypadały, dlatego szklarz raz w tygodniu zaglądał i proponował swoje usługi. Pamiętam, kiedy jeden z taborów wędrował w pobliżu i Cyganki weszły na nasze podwórko. Bawiłem się wtedy ze swoim pieskiem, mama przygotowywała kotlety mielone w kuchni, jedna Cyganka ją zagadywała i próbowała powróżyć, a druga mnie zgarnęła pod spódnicę. One miały spódnic kilka, było lato, zrobiło mi się gorąco, a Cyganka ścisnęła mnie nogami. Usłyszałem wołanie mamy: „Adam, Adam”, ale się nie odzywałem, bo byłem przestraszony. W pewnym momencie mój piesek zaczął obszcze kiwać Cyganke, ta zorientowała się, że moja mama zainteresuje się, dlaczego pies szczeka, pokazała, gdzie zostałem ukryty i wyciągnęła mnie spod spódnic. Z tego, co wiem, dochodziło czasami do porwań dzieci przez Cyganki, najczęściej robiły to Cyganki bezdzietne.

Podwórko było gęste od różnego rodzaju wydarzeń – zabawnych i tych mniej przyjemnych. Nie zaglądali do nas uliczni śpiewacy czy kataryniarze. Nie mieliśmy takiego miejsca, gdzie można było pójść się zabawić. Zwykle bawiono

się w domach. Mnóstwo ludzi miało harmonie. To był taki styl – granie na harmoniach przy każdej imprezie domowej. Któryś z sąsiadów zawsze bawił wszystkich grą. Nikt nie korzystał z muzyki radiowej, lepsza była taka na żywo. Wszyscy bardzo dużo śpiewali. Na podwórku śpiewaliśmy, jak były sąsiedzkie spotkania, imprezy suto zakrapiane.

Dzieci otaczane były opieką przez wszystkich sąsiadów. Rynsztok był taką granicą bezpieczeństwa na ulicy. Znało się sąsiadów, miało się do nich zaufanie, ale drzwi do mieszkań były zamykane. Bardzo często odwiedzało się sąsiadów po cukier, sól czy żeby pożyczyć jakąś rzecz. Na ogół rodziny były wtedy wielodzietne, z minimum dwójką dzieci.

Na podwórku była studnia i drzewo, które latem dawało cień. To były centralne miejsca. Podwórko było idealnym miejscem do budowania sąsiedzkiej wspólnoty. W promieniu jednego kilometra wszyscy się znali. To był taki mikroświat. Niektórzy pracowali w tych samych zakładach pracy, mieli tych samych znajomych. Zimą bliższych sąsiadów zapraszało się do domu na imieniny czy chrzciny. Latem bawiono się w większym gronie na podwórku.

Na naszym podwórku była pralnia, z której korzystali wszyscy. Była w niej wielka balia, tary, pośrodku kocioł opalany od dołu drewnem. Były też duże drewniane chochle, prało się w szarym mydle. Po praniu i płukaniu krochmaliło się pościel, obrusy, prześcieradła – to była straszna robota. Małe rzeczy prało się w domu. Suszyło się na sznurkach na podwórku albo w domu. Pościel po praniu zanoszono do magła przy ulicy Tuwima.

Ludzie byli samowystarczalni. Niemal w każdym domu była maszyna do szycia. Wymieniało się jedzenie za usługę krawiecką lub szycie za pieniądze. Podwórko to same miłe wspomnienia. Było się gdzie bawić, atrakcją były dla nas węglowe hałdy, chodzenie na szczydłach pomiędzy torowiskami. Trzepak był na każdym podwórku. Był nieodzownym jego elementem, służył dzieciom i dorosłym. Na podwórkach zawsze był porządek. Chodzili milicjanci oraz służby miejskie i sprawdzali również stan sanitarny podwórek. Kupowaliśmy miotły z resztek traw i gałęzi do sprzątania sieni i podwórka. Poza podwórkami wszyscy spotykali się w pobliskim sklepie, w tanich jatkach [kram, stoisko na rynku, najczęściej rzeźnicze], w piekarni.

Teraz nie ma na podwórkach tylu zwierząt. Nie ma studni, przy której wszyscy się spotykają. To już zupełnie inne miejsca. Podwórko to była zamknięta enklawa. Teraz są bardziej otwarte, ludzie są anonimowi, każdy ma swoje życie, nie ma tej wspólnoty, co kiedyś.

ZBIGNIEW RYBCZYŃSKI

Wszyscy się szanowali, wszyscy się odwiedzali i znali. To był naprawdę jeden świat.

To był inny świat, nie to co teraz. W moim domu mieszkali ludzie różnego pokroju – od mleczarza do hrabiostwa. Naprzeciwko mnie mieszkała rodzina hrabiowska Lipskich. Pochodzili z Wileńszczyzny – pani hrabina Lipska z dwojgiem dzieci, córkami Teresą i Lusią. Często opowiadała mi o swojej rodzinie, pokazywała albumy rodzinne. Ja pomagałem jej sprzątać, myłem podłogi, bawiłem się u niej. Była bardzo życzliwa. W moim domu wszyscy się szanowali, wszyscy się odwiedzali i znali. To był naprawdę jeden świat. Nikt nie zamykał drzwi. Rodziny były wielodzietne – jedno dziecko to był unikat. Na ogół to trzy, cztery i siedem osób też było w rodzinie. W moim domu mieszkali też Żydzi. Często odwiedzaliśmy się. Szanowało się ich i normalnie żyło, tak jak ze wszystkimi. Mieszkał też profesor filozofii, pochodzenia tatarskiego. Wyemigrował z Rosji. Często opowiadał mi o swoim życiu. Bardzo sympatyczny człowiek, wykształcony. Mojego brata uczył nawet języka esperanto. Sam znał trzy języki.

Podwórko tętniło życiem. Trzy bramy łączyło podwórko. Było u nas dużo dzieci, jeszcze przychodziły z sąsiednich podwórek, był harmider, wszyscy się bawili, było wesoło. Dzieciaki posprzeczały się na pięć minut, potem w zgodzie żyliśmy. Znało się całą ulicę, kłanialiśmy się starszym, bo tak był człowiek nauczony. Obcy przechodził, też mu się kłaniano. Teraz jest to nie do pomyślenia. Jak starszy zwrócił uwagę, to się na baczność stało, słuchało się starszych. Te czasy chyba minęły bezpowrotnie. Drzwi się nie zamykało z tego względu, że dzieciaki wchodziły do wszystkich. Nie schodziło się z piętra, tylko się skakało. Rumot był wielki. Matki były w domu, zajmowały się dziećmi. Mężczyźni pracowali.

Kamienica była skanalizowana, był w domu piec i kuchenka gazowa na dwa palniki. Na święta zamawiało się praczki. Była wspólna pralnia na podwórku. Była tam balia, tara, prało się mydłem szarym, ręcznie. Był trzepak metalowy, musiał być, ale studni nie było. Była też górka, wspaniała rzecz dla dzieciaków. Zimą się na sankach i łyżwach z niej zjeżdżało. Część podwórka była

wybetonowana i tam było boisko. Tam graliśmy w piłkę, nieraz się szybę wybiło, lanie się dostało, ojciec zapłacił i było wszystko dobrze. Wtedy nie było zabawek, tak jak teraz. Zabawki były drogie. Jak któraś z dziewczynek miała lalkę, to było „coś”. Bawiliśmy się fajerkami z pieca, lataliśmy z nimi po podwórku, graliśmy w „bączka” i „chowanego”. Jak ktoś miał wóz strażacki, to był najlepszym kolegą. Był oblegany, każdy chciał dotknąć, zobaczyć taką zabawkę. Przychodziły wtedy dzieciaki z innych podwórek.

Żydzi nie obnosili się ze swoimi świętami, świętowali w zaciszu domu. Wi-działem często świeczki w oknach na Chanukę [doroczne święto żydowskie, trwające 8 dni, upamiętniające ponowne poświęcenie świątyni w Jerozo-limie] lub Szabas [święteczny, ostatni dzień każdego tygodnia, trwający od zachodu słońca w piątek, do zachodu słońca dnia następnego]. Kiedy wy-jeżdżali z Polski, zrobili przyjęcie, pożegnali się z każdym sąsiadem [mowa o wydarzeniach z marca 1968 roku, kiedy kryzys polityczny wewnątrz rządzącej Polską Ludową Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej doprowadził do fali antysemitki i antyinteligentki propagandy – duża część społeczności żydowskiej została wtedy zmuszona do opuszczenia kraju]. Płakaliśmy, jak się z nimi żegnaliśmy. Kontakt przez jakiś czas był z nimi utrzymywany.

Syn inżyniera bawił się z synem robotnika, bawiliśmy się z dziećmi żydow-skimi jak ze wszystkimi, rodziny się odwiedzały, były imieniny, sąsiedzi skła-dali sobie życzenia, nie było różnic klasowych. To byli ludzie przed wojną urodzeni, to byli inni ludzie – już to nie wróci.

Na niedzielę obowiązkowo był rosół, schabowy albo żeberka. Rosół musiał być. Gdzie poszedłem, był rosół na obiad. Kurę się kupowało, u mnie za-bijała matka. Na Boże Narodzenie musiała być choinka, każdy piekł ciasto, pachniało w całej kamienicy. Czuło się wtedy nadchodzące święta. Już takich ciast nie ma; może mąki były lepsze, jajka były lepsze, wszystko było lepsze. Schab inaczej smakował, kurczak też, bo inaczej był karmiony niż teraz. Na choince wieszano się bombki, cukierki, które podjadaliśmy. Na Wigilię, we-dług naszej tradycji 13 dań i prezenty. Do domu przychodził ksiądz, wszy-scy dzielili się opłatkiem. Obowiązkowo szliśmy na Pasterkę. Ale kiedyś to były zimy! Tunelem ze śniegu się szło do kościoła. W każdą niedzielę do ko-ścioła musiało się iść. Ojciec wyganiał. Sam nie chodził, bo był zmęczony, a ja musiałem powiedzieć, co ksiądz mówił na kazaniu. Dwa złote dawał zawsze na tacę i musiałem wrzucać. Chociaż korciło, żeby nie dawać, bo lody były za dwa złote. Boże Ciało to było też wielkie święto. Szliśmy do kościoła; nawet ojciec, który był zawsze zmęczony.

Jak ktoś miał hulajnogę, to był już gość. Staliśmy w kolejce, żeby „się przejechać”. Dropsa dawaliśmy za kółko po podwórku. Jak miałem rower, to było coś, po parku szalałem. Jak ojciec radio zainstalował w domu, słuchałem Santorki [Ireny Santor], przebojów [Marii] Koterbskiej. Pamiętam też komunikat o śmierci [Bolesława] Bieruta.

Telewizor w naszym domu był już w latach 60. To był trzeci telewizor w kamienicy. Ten, kto miał telewizor, zapraszał sąsiadów na „Kobrę” lub „Zorro”, potem piętrami się dzieliliśmy i było więcej miejsca dla widzów. Wszyscy mogli siedzieć, nie musieli stać, jak wcześniej. My obsługiwaliśmy trzecie piętro. Była solidarność, żyło się bardzo dobrze. Ludzie się szanowali, mieli dla siebie czas, dyskutowali ze sobą, rozmawiali, chodziło się do sąsiadów na ciasto i kawę. Drzwi się nie zamykało, wszędzie były otwarte. W moim domu mieszkali też Niemcy, Rosjanie, ale na podwórku bawiły się wszystkie dzieciaki. Jak ktoś zaśmiał się, że któraś z dziewczynek zaciąga, zawsze ich broniliśmy.

Na podwórku było czysto. Było u nas dwóch dozorców. O czwartej rano było już słyhać, jak szuflowali. Podwórko zadbane było przez cały rok. Na podwórku mój brat posadził drzewo. To drzewo tak urosło, że jak był wiatr, gałęzie waliły w okna. A mieszkaliśmy na czwartym piętrze.

Komunie, chrzciny urządzano na ogół w domu. Jak przyszła sobota, to ludzie się bawili. Na całej ulicy było słyhać gramofony, ludzie pili wódkę, śpiewali, było słyhać, że ulica wrzała. Wszyscy bawili się razem. Latem okna były pootwierane, słyhać było muzykę, śmiech, zabawę. Teraz jest nudno, smutno. Sylwestra większość ludzi też robiła w domu. Zapraszano rodzinę i sąsiadów.

Po warzywka szło się na rynek rybny [plac Piastowski (Bazarowy)], tam odbywały się też nielegalne walki psów. Na moje podwórko przychodzili wędrowni muzycy. Pamiętam jednego pana, który pięknie grał na skrzypkach – dostawał pieniądze od sąsiadów. To był podobno wykształcony muzyk. Chodzili też tacy, kórzy ostrzyli noże, nożyczki, skupowali stare szmaty. Był też taki, co szatkował kapustę. Jesienią chłopci przyjeżdżali wozem z ziemniakami. Kapucha, cebula i ziemniaki musiały być na zimę. Wtedy zima nie straszna. Kisiło się kapuchę i trzymało w piwnicy. Inne warzywa też. Robiło się zapasy. W pobliskim sklepie było wszystko: wódka, stoisko z warzywami i artykułami spożywczymi. Był też blisko rzeźnik. Wszystko mieliśmy pod ręką. Czasy były fajne, lepsze niż teraz. Dzieciaki się spotykały i bawiły razem. Dziś ludzie nie spotykają się tak, jak kiedyś.

Wtedy wszystko było blisko, dzisiaj drogi przebyte w dzieciństwie wydają się dłuższe.

Moje podwórko mieściło się przy ulicy Żeligowskiego 40. Mieszkaliśmy w domu naprzeciwko jednostki wojskowej. Lokatorami byli wojskowi i ich rodziny, ale nie tylko. Mieliśmy bardzo duże podwórko. Podwórka z lat 60., które pamiętam, były placem zabaw dla dzieci. Telewizory nie były tak popularne jak dzisiaj, więc mało czasu spędzało się w domu, więcej na zewnątrz. Zimą na podwórku nie było śniegu, bo dozorca zawsze sprzątał, za to na ulicy, przed domem było go mnóstwo. Lepiliśmy wtedy bałwany, rzucaliśmy się śnieżkami. Latem to już całe dni spędzaliśmy na zabawach podwórkowych. Chłopcy oczywiście grali w piłkę, ale dozorca mieszkający na parterze, pilnował, żeby nie powybijali szyb i gonił ich. Dziewczynki natomiast bawiły się „w klasy”, „chłopka”, skakały na skakance. Czasami latem, kiedy było ciepło, wyciągałyśmy na podwórko koce, bawiłyśmy się lalkami, gadałyśmy, śmiałyśmy się.

Było nas dużo na podwórku. W każdej rodzinie była dwójka, trójka dzieci, wszyscy raczej byliśmy w tym samym wieku. Bawiliśmy się razem – chłopcy i dziewczynki. Najważniejszą zabawą była zabawa „w chowanego” lub „w podchody”. Dookoła było mnóstwo zakamarków. W komórkach przechowywano węgiel i tam można było zrobić sobie super kryjówkę. Na podwórku wymyślaliśmy różne zabawy sami. Inscenizowaliśmy przedstawienia teatralne, występy, koncerty piosenek. Podwórka były pełne życia, pełno nas było wszędzie, mieliśmy kontakt ze sobą, lubiliśmy się. Chodziliśmy do jednej klasy w szkole, mieliśmy wspólne lekcje i podwórko.

Nikomu nie przeszkadzały nasze zabawy, krzyki, narysowany kredą „chłoppek” na betonie, biegania, dziecięce zamieszanie. Kiedy moja mama kupiła telewizor, inne dzieci przychodziły do nas, żeby oglądać różne programy. Było wtedy wesoło w naszym domu, lubiłam te chwile. Siadaliśmy wszyscy na podłodze i oglądaliśmy bajki. Uwielbialiśmy trzepak, który służył nie tylko do trzepania dywanów. Tam robiliśmy „fikołki”, przewroty – było świetnie.

Dorośli nie spędzali dużo czasu na podwórku. Sąsiadki spotykały się raczej w domu. Ale między sąsiadami nie było zażyłości ani wylewności. Oczywiście pomagano sobie, ale tyle, ile trzeba było. Jednak kontakt i przyjaźń z kilkoma sąsiadkami przetrwały do dzisiaj, pomimo tego, że upłynęło wiele lat i nie mieszkamy w jednym domu. Na majówkę wszyscy razem wyjeżdżaliśmy za miasto, dzieci i dorośli. Przyjeżdżał po nas duży wojskowy samochód i wszyscy do niego wsiadali. Z tyłu ciężarówki ustawione były ławki i wszyscy razem jechali, najczęściej do lasu za miasto.

Na parterze naszego domu była pralnia. W pomieszczeniu stał wielki piec na dwa kotły. W nich gotowano przyniesioną pościel i bieliznę. Wcześniej należało zarezerwować klucz do pralni. Po praniu krochmaliło się czystą bielizną i pościel. Takie pranie to było ważne wydarzenie w domu. Pranie było długie, zajmowało cały dzień i wymagało dużo pracy i siły. Pomagały też sąsiadki w noszeniu pościeli do prania. Niektóre z nich brały wolne w pracy, żeby zrobić pranie. Trzeba było też po praniu zamówić klucze do suszarni, która mieściła się na strychu naszego domu. Kiedy jedna z sąsiadek kupiła odkurzacz, inne przychodziły go oglądać i dopytać, jak działa. To była taka mała sensacja w naszym domu.

Na nasze podwórko przychodził ostrzyciel noży z kamiennym kołem. Z tym, co szatkował kapustę, trzeba było wcześniej się umówić. Pamiętam też człowieka, który przychodził i wołał: „garnki, miski za gałgany”. Często przyjeżdżała do nas pani z wielkim koszem, w którym miała ser, jajka, śmietanę, masło i kupowało się od niej te produkty.

Święta obchodziło się w rodzinnym gronie. Przed świętami były bardziej sąsiedzkie stosunki. Opowiadano sobie, co już zostało przygotowane, co jeszcze jest do kupienia, wymieniano się przepisami kulinarnymi, dawano sobie różne rady, co i jak zrobić. Na Wielkanoc razem z koleżankami i rodziną malowaliśmy jajka. Uroczystości rodzinne organizowane były w domu. Rodziny były duże, było dużo dzieci, wszystkich zapraszano.

ALEKSANDER MISIUKIEWICZ

Podwórka miały wiele miejsc, gdzie można było się schować i długo się ukrywać. Miały mnóstwo zakamarków.

Pamiętam podwórka ze swojego dzieciństwa przy ulicy Zielonej i później Więckowskiego 24. Pierwsze podwórko wyglądało tak, że nie było oficyny w pierzei ulicy, tylko był drewniany płot. Ciekawostką były dwupiętrowe piwnice. Bardziej pamiętam podwórko przy ulicy Więckowskiego. Tam w domu urodziła się moja siostra. Oficyna była od strony ulicy, przechodziło się przez wąską bramę, przez którą nie zawsze mogły przejechać samochody z węglem. Lewa oficyna była piętrowa, po prawej była 3-piętrowa. Podwórko kończyło się piętrowym budynkiem, w którym były komórki i ubikacje. Nie wszyscy w kamienicy mieli toalety.

Ważnym dla nas miejscem w kamienicy był korytarz, który biegł przez cały budynek. Tam toczyło się zimą życie wszystkich dzieci. Jeździliśmy trójkołowymi rowerkami po korytarzu, biegaliśmy, zjeźdzaliśmy po poręczy schodów. Latem oczywiście na podwórku. Była tam studnia, ale nieczynna. Cembrowina służyła do siedzenia.

We frontowej kamienicy był punkt, gdzie przyjmowano rzeczy do prania, a także mieszkanie właścicieli. Na końcu podwórka była pralnia. Obsługiwała ją kobieta w długim, białym fartuchu. Gotowała w wielkim kotle pościel, prześcieradła, obrusy. Dla nas, dzieciaków, miejsce to przypominało piekło. W pralni unosiła się gęsta para, było strasznie gorąco i śmierdziało.

Zimą, kiedy napadało dużo śniegu, nasz dozorca usypywał z niego wysoką górę tak, że mogliśmy oglądać z jej wierzchołka sąsiadów z pierwszego piętra. Budowaliśmy igloo na podwórku, lepiliśmy bałwany, rzucaliśmy się śnieżkami. Jeździliśmy nawet na nartach. Takie były wtedy zimy! Na korytarzu zimą toczyło się też życie towarzyskie dorosłych. Sąsiedzi dużo ze sobą rozmawiali, dyskutowali, wymieniali poglądy. Nie to, co teraz, że każdy zamyka się w swoim domu i w swoim życiu. Drzwi często do mieszkań były otwarte, odwiedzano się na kawę albo żeby coś pożyczyć. Pod koniec lat 60. jedyny telewizor w kamienicy był u sąsiadów. Zbieraliśmy się u nich wszyscy i od czasu do czasu wspólnie oglądaliśmy audycje.

Całe życie toczyło się na podwórku. Matka wołała z okna, dawała chleb z cukrem w rękę i dalej do zabawy. Nie było czasu siedzieć w domu, nawet na obiad. Spędzaliśmy tam cały dzień. Podwórko było dla nas fantastycznym placem zabaw. Był oczywiście też trzepak. Na początku drewniany, później metalowy i na nim można było kręcić „fikołki” i „kozyłki”. Bawiliśmy się też „w wojnę” – dzieliliśmy się na Polaków i Niemców. Jedna grupa wychodziła na zewnątrz, druga zostawała na podwórku i chowała się po zakamarkach. Należało tę ostatnią odnaleźć i okrzykiem „pif, paf” zabić. Raczej nie przychodziły do nas dzieciaki z innych podwórek. Bawiliśmy się we własnym gronie. Podwórka miały wiele miejsc, gdzie można było się schować i długo się ukrywać. Miały mnóstwo zakamarków.

Raz w tygodniu zaglądał do nas na podwórko człowiek, który ostrzył noże. Pracował przy pomocy koła zamontowanego na rowerze. Od czasu do czasu przychodził do nas jakiś artysta, śpiewał albo grał na akordeonie. Prawie wszyscy wtedy zbierali się na podwórku lub rzucali z okien drobne pieniądze. Przychodził też pan, który skupował szmaty. Chłopi ze wsi jesienią przywozili na wozach konnych ziemniaki, marchew i kapustę, przychodziła też „baba” z cielęcina, mlekiem, serem, jajkami czy śmietaną. Na niedziele zawsze kupowało się kury. Kobiety musiały oskubać je z piór, mężczyźni opalali na korytarzu nad maszynką spirytusową. Już w sobotę było wiadomo, u kogo będzie rosół i kura w niedzielę. Sąsiedzi bardzo często spotykali się ze sobą towarzysko. Mieli ze sobą kontakt, znali się. Wesela, komunie czy chrzciny urządzano w domu. Nikogo nie było stać na przyjęcie w restauracji.

Pranie trwało dwa dni i to było wielkie wydarzenie. Prało się w domu, suszyło na strychu. To był inny dzień niż wszystkie pozostałe. Wielkie pranie robiło się trzy, cztery razy w roku. W ogromnym kotle gotowało się na piecu wodę, tam wrzucało się bieliznę, a krochmaliło w wannie. Pościel nosiło się do magła, a firanki do ramowania. Na podwórko wychodziły dwa okna, gdzie panie prasowały. Tam zanosiło się bieliznę, koszule z popeliny i pościel do prasowania. Kiedy w domu było pranie, jedliśmy charakterystyczny obiad. Matka nie miała czasu gotować, więc na obiad były ziemniaki w mundurkach i śledzie w śmietanie z cebulą. Tylko i wyłącznie wtedy był taki obiad.

Przygotowania do Wigilii rozpoczynały się dwa, trzy dni wcześniej. Właściwie u wszystkich tak było. W całej kamienicy pachniało makowcami i bigosem. Wigilie spędzaliśmy w gronie rodzinnym. Z sąsiadami spotykaliśmy się w pierwszy lub drugi dzień świąt.

Dzisiaj mało kto chce maglować. Mam jedną taką sąsiadkę, która ma jeszcze pościel do maglowania, bo jej mama tego wymagała. Teraz ludzie mają pościel z kory. Nie ma potrzeby maglowania.

Moje podwórko było otwarte, nie zamykało się furtki na klucz, tak jak teraz. Do naszego magła przychodzili wszyscy z okolicy. To było miejsce spotkań towarzyskich i sąsiedzkich. Ja wyrastałam w maglu. Dlatego teraz starsi ludzie z okolicy mnie znają. Magiel stał w jednym z naszych pokoiów mieszkalnych. Tam przychodzili klienci, co czasem było dla mnie krępujące. Stał u nas szlifierz na podwórku. Pan Jasio ostrzył noże u rzeźników, jeździł po sklepach, ostrzył też ludziom noże, nożyczki, części maszynek do mięsa. Był bardzo dobrym fachowcem i bardzo sympatycznym człowiekiem. Poza tym był bardzo dowcipny, dużo opowiadał, wiedział, co działo się w okolicy, wszystko wiedział. U nas stał jego warsztat.

Bardzo dobrze pamiętam prania. Kiedy jeszcze nie było u nas bieżącej wody, w łazience stała wielka czerwona balia, w podłodze była kratka i rurka pod podłogą, woda z prania wylatywała przed drzwiami, żeby nie trzeba było wylewać jej na zewnątrz. Pranie to było duże wydarzenie, absorbowało wszystkich domowników. Pościel suszyło się na podwórku, zimą w domu.

W naszym zakładzie niektóre sąsiadki samodzielnie obsługiwały magiel. Kolejka stała przed domem. Kobiety wtedy często pracowały na trzy zmiany, a po całej nocy w robocie – leciały do naszego magła, który był czynny od ósmej. Najpierw ten magiel był ręczny. Ale i tak ktoś wtedy nadzorował. Przeważnie nadzorował to tato. Siedział sobie tam i patrzył, bo trzeba było wiedzieć, ile wałków nawinąć. Kobiety przynosiły na plecach całe toboły, zawinięte w koce. Taki toból był strasznie ciężki.

W maglu były trzy stoły, przy każdym stole był stołeczek, półka na butelki z wodą. Panie nawijały tkaniny na wałki i podkładały pod magiel, kilkakrotnie prasując materiał. Tato pobierał potem opłatę za użytkowanie magła. Lubił sobie też pogadać z tymi kobietami. Wiedział o wszystkim, co się działo w okolicy. A jak mu jeszcze mało było, to przed furtką rozmawiał.

Można było też pozostawić odzież, bieliznę czy pościel w maglu, wtedy usługę wykonywali rodzice. Zazwyczaj tkaniny odedbrać można było następnego dnia. Najczęściej rodzice maglowali wieczorem albo jak nikogo nie było w maglu. Przed świętami był bardzo duży ruch. Miałam dwóch starszych braci i oni pomagali rodzicom wieczorem w maglu. Przeważnie kręcił magłem straszny brat, ja siedziałam na maglu i jeździłam. To była super zabawa. Potem też maglowałam, wychowałam się w tym miejscu, więc już byłam nauczona. Do dzisiaj bardzo lubię to robić, uwielbiam.

Jak się nawinęło mniejszy walek to się lepiej zmaglowało, a jak się nawijało duży walek, to często pościel się gniołła. Były takie panie, które chciały tylko przekręcić i już. Ale były też takie, które chciały mieć perfekty zrobione. A już jak było robione przez nas, zawsze było perfekty.

Rodzice moi zajmowali się też ramowaniem firanek. Panie przynosiły suche albo mokre, nakrochmalone firanki, a rodzice rozpinali je na drewnianych ramach i suszyli. Firanki musiały być prościutkie, mocno naciągnięte. Nie dało się tego zrobić rękoma. Do naszego zakładu trafiały firanki bawełniane, oraz robione ręcznie „file”, które nazywano siatkowymi. Kobiety wykonywały je czółenką, zaplatano je na kwadraty, potem wyszywano na tym wzory.

Moja mama wspominała też beczkowóz, który przyjeżdżał prawie codziennie z wodą do gotowania i prania. Tej wody trzeba było dużo nanosić. Nikt wtedy nie narzekał, nie mówił, że nie ma czasu. Wszyscy byli bardzo weseli, uśmiechnięci. Kobiety na podwórko wносиły krzeselka, siadały na nich, i one najlepiej były poinformowane, co się dzieje na ulicy.

Latem wynosiliśmy na podwórko stolik i krzesła. Tam spotykaliśmy się z rodziną. Przed wojną ludzie mieszkali w drewnianych domach przypominających budy. Taka była łódzka rzeczywistość. Na Bałutach nawet bałuciarza okradli, takie były czasy.

Tata, jak wszyscy bałuciarze, był gołębiarzem. Na bazar rybny przyjeżdżały kobiety ze wsi z różnymi wiktuałami. Niektóre u nas nocowały. U jednej z tych kobiet spędzałam później wakacje z mamą.

W Wielkanoc ksiądz przychodził na naszą ulicę, pod piątkę (ul. Rybna) tradycyjnie święcić pokarmy. Stół, przykryty białym obrusem, rozstawiony był u sąsiadki albo na podwórku. Każdy przynosił koszyczek ze święconką. Któryś z sąsiadów podejmował potem księdza poczęstunkiem.

Nie było tak jak teraz, że się drzwi zamyka. Tam były drzwi otwarte dla każdego.

Dzieciństwo spędziłem na Kozinach. Tam mieszkałem do 1974 roku w pięcioklatkowym bloku. Mieszkała tam prawie sama młodzież. Zimą uczyłem się jeździć na łyżwach i na sankach. Latem graliśmy „w klipę”, koło się brało, fajerkę i drut, i się jeździło, deszcz nie deszcz boso się latało – to były czasy inne niż dzisiaj. W moim domu mieszkali tylko Polacy.

Dzisiaj podwórko to już inne jest, tu nie ma żadnych towarzyskich spotkań. Sąsiedzi raczej znają się tylko z widzenia. Wtedy było inne życie, wszyscy żyli razem, pomagali sobie. Często z jednego garnka się jadło – my i dzieci sąsiadki. Dawniej na moim podwórku był trzepak, ławki, boisko, na trawniku robiło się lodowisko zimą i wszyscy sąsiedzi się tam spotykali. W bloku, w dawnym schronie, była świetlica. Rodzice tam urządzali potańcówki, często spotykali się wszyscy sąsiedzi i było bardzo fajnie. Jak coś się popsuło, to ojcowie nasi naprawiali – elektrykę czy ławki.

Nie było tak jak teraz, że się mieszkania zamyka. Drzwi naszych sąsiadów były otwarte dla każdego. Nie pukało się do drzwi, tylko od razu chwyciło za klamkę. Do wszystkich mówiło się po imieniu. Pożyczało się sól i cukier. W blokach mieszkaliśmy. Gdy ktoś wszedł, to wszyscy wiedzieli po co. Łatwo było wychwycić kogoś obcego. Było bezpiecznie, dzieci bawiły się same na podwórku. Gdy któreś z nas zniknęło na dłużej, zaraz wszyscy się interesowali i szukali. W święta spotykaliśmy się wszyscy – rodzina i sąsiedzi.

Na osiedlu był też magiel, z którego wszyscy korzystali. W Łodzi dużo było wtedy magli. Moja mama też miała magiel na Grembachu [wyodrębniane zwyczajowo, choć nie ujmowane w strukturze miasta osiedle, we wschodniej części Łodzi – na Widzewie, znane też jako Grynbach, Grymbach, Gryn-bak rzadziej jako Grunbach].



wybór ilustracji: Panorama. Dodatek niedzielny „Republiki”, lata 30. XX wieku

Podwórko moje to nie tylko obrazy, ale dźwięki i zapachy, które towarzyszą mi do dzisiaj.

Moje wspomnienia dotyczą lat 60. i 70. ubiegłego wieku, tj. okresu, na który przypadało moje dzieciństwo. Moje podwórkowe wspomnienia związane są z podwórkiem posesji położonej przy ul. Zarzewskiej 7 niedaleko placu Niepodległości i słynnego Górniaka. Była to niezwykle barwna, tętniąca życiem okolica.

Moje podwórko było prawie klasyczną „studnią”. Zabudowa nieruchomości składała się z czteropiętrowej kamienicy frontowej, przylegającej do niej pod kątem prostym prawej oficyny oraz oficyny poprzecznej, która przylegała również pod kątem prostym do prawej oficyny. Całość zamykał niewielki piętrowy budynek, a pozostałą część tej „studni” wypełniała tylna ściana budynku sąsiedniej posesji. Ale to nie koniec atrakcji mojego podwórka. Otóż za poprzeczną oficyną było drugie podwórko, większe od tego pierwszego. Oba te podwórka odgrywały ogromną rolę w życiu codziennym dorosłych mieszkańców, jak również dzieci.

Mieszkałem na trzecim piętrze poprzecznej oficyny. Okna mojego mieszkania wychodziły na pierwsze podwórko, które było areną wielu ciekawych wydarzeń. Na posesję, w której mieszkałem, wchodziło się przez bramę – jak to niektórzy określali – prześwit bramowy. Pierwsze podwórko było utwardzone tak zwaną trylinką [sześciokątne płyty betonowe]. Drugie natomiast miało nawierzchnię gruntową nieutwardzoną, ale z czasem też i to podwórko zostało wyłożone trylinką. Jak już wspominałem okna mojego mieszkania znajdującego się na trzecim piętrze były skierowane na pierwsze podwórko i stanowiły, zwłaszcza okno kuchenne, doskonały punkt obserwacyjny dla podziwiania różnych interesujących wydarzeń dziejących się na tym podwórku.

Moje wielkie zaciekawienie budziły dostawy węgla. Odbывało się to w ten sposób, że węglarz stawał na środku podwórka i gromkim głosem oznajmiał, że przywieziono węgiel dla tego czy innego mieszkańca kamienicy. Wywołana przez węglarza z nazwiska osoba zbiegała na dół i wskazywała miejsce, na

które miał być zrzucony węgiel. Po wywołaniu odbiorcy węgla dał się słyszeć stukot końskich kopyt o utwardzoną nawierzchnię bramy i po chwili wyłaniały się z bramy dwa potężne konie pociągowe ciągnące wóz pełen węgla. Słysząc było również pokrzykiwania woźnicy zachęcające konie do równej jazdy. Po zrzuceniu węgla woźnica nieźle musiał się nagimnastykować, żeby wymanewrować wozem tak, aby wyjechać z niezbyt dużego podwórka z powrotem na ulicę. Manewry te były źródłem również ciekawej obserwacji pozwalającej odkryć kunszt powożenia zaprzęgiem. Zdarzały się również wjazdy na podwórko innych pojazdów konnych – były to wozy z płodami rolnymi, które mieszkańcy kupowali robiąc zapasy na zimę.

Niezwykle wdzięcznym obiektem obserwacji dla mnie jako dziecka był występ pieśniarza podwórkowego, który grając na mandolinie śpiewał pieśni pochodzące z ulicznego folkloru łódzkiego lub warszawskiego. Popisy takie odbywały się głównie w okresie letnim, w niedziele lub święta. Oczywiście były one nagradzane przez mieszkańców kamienic datkami. Z okien leciały zawinięte w papier pieniądze. Była to najczęściej złotówka lub 50 groszy. Gdy pieśniarz nie miał osoby towarzyszącej, to wówczas dzieciaki z naszego podwórka zbierały datki z ziemi i wsuwały do kieszeni zadowolonemu artyście, który skinieniem głowy dziękował darczyńcom. Pamiętam zawsze niedosyt, który towarzyszył występowi podwórkowego pieśniarza, gdyż w moim odczuciu trwał on zbyt krótko.

Na arenę mojego podwórka wkraczali również oprócz artystów rzemieślnicy. Był między innymi pan, który ostrzył noże, nożyczki i inne przedmioty, które miały być ostre. Innym rzemieślnikiem był pan, który oferował lutowanie garnków, misek i innych naczyń, które utraciły swoją szczelność. Z mojego okna mogłem obserwować również to, co działo się na sąsiednich podwórkach. Myślę, że wtedy ludzi ciekawiły takie rzeczy, na które dzisiaj nie zwracają w ogóle uwagi. Moje okno na podwórze było swego rodzaju oknem na świat, gdyż zabijało pojawiającą się czasami nudę, wzbudzało zainteresowanie, a także pobudzało wyobraźnię.

Oczywiście, najfajniej było być na podwórzu i osobiście uczestniczyć w toczącym się na nim życiu. Niestety, zdarzały się sytuacje, kiedy za karę nie wolno było wyjść na podwórze, żeby bawić się z innymi dziećmi. Moje drugie podwórko było areną równie ciekawych wydarzeń. Pewną zaletą tego podwórza była jego otwartość i przestrzeń, gdyż oprócz piętrowego budynku komórek i pralni nie było na nim innych budynków. Były tam jeszcze drewniane komórki i tak zwana sławojka, ale to były niskie drewniane

konstrukcje nie ograniczające otwartości przestrzeni, mówiąc krótko nie tworzyły „studni”. To drugie podwórko było głównie areną zabaw dzieciaków. Pamiętam, że bawiliśmy się doskonale i gdy zbliżał się zmierzch, to w nerwowym napięciu czekaliśmy na wezwanie przez rodziców do domu, co definitywnie kończyło zabawę mimo prośb kierowanych do rodziców „jeszcze trochę, jeszcze trochę”.

Nie przypominam sobie, żeby choć przez chwilę towarzyszyła mi nuda podczas pobytu na podwórku. Grupa dzieciaków z naszego podwórka zawsze dogadywała się bez większego problemu i chętnie przyłączała się do zaproponowanej przez kogoś zabawy. Do gier i zabaw z tamtych czasów należały: gry z piłką, „w klipę”, „w klasy”, skakanie na skakance, zabawa „w chowanego”, „w berka” i wiele innych. Oczywiście, obowiązkowo w maju, kiedy to odbywało się najważniejsze wydarzenie sportowe, czyli kolarski Wyścig Pokoju chłopcy z mojego podwórka bawili się w kolarzy. Zabawa polegała na tym, że rysowało się kredą trasę w kształcie wijącej się wstęgi o szerokości kilkunastu centymetrów z zaznaczonymi premiami górskimi i lotnymi. Uczestnicy gry kładli na początku wyznaczonej trasy kapsle lub guziki imitujące zawodników i pstryknięciem starali się przesunąć kapsel lub guzik na jak największą odległość, nie powodując wypadnięcia „zawodnika” poza wyznaczone linie.

Jesienią chłopcy pasjonowali się puszczaniem latawców. Były to „szteny” lub „drachy”. Bardzo trudno było wykonać latawiec bez pomocy kogoś dorosłego, ale niektórym chłopcom się to udawało. Pełne napięcia były chwile wzniosu latawca, gdyż rzadko udawało się wzbić latawiec za pierwszym razem. Często należało dokonywać korekty ogona latawca lub wielkości ciężarka – kamienia przywiązanego na końcu ogona. Wielka była frajda, kiedy latawiec wzbił się już w powietrze, a ze szpuli rozwijane były kolejne metry mocnych nici, tak zwanego szpagatu, co powodowało, że latawiec wzbijając się, stawał się coraz mniejszy. Zdarzały się i pechowe loty latawców, a mianowicie zdarzało się, że latawiec wyrывało z ręki operatora. Leciał on wówczas bez kontroli, a spadając wykonywał korkociąg. Biegliśmy wówczas w stronę miejsca, gdzie ów latawiec – wydawało nam się – upadł, żeby go uratować. Jeśli się to nie udało, była to niepowetowana strata, gdyż wykonanie takiego latawca było niezwykle pracochłonne. Nieco mniej zachodu wymagało wykonanie tzw. „boby”. Robiło się ją z kartonu formatu A4 odpowiednio go formując. Przywiązywało się do „boby” również ogon z ciężarkiem, no i oczywiście uwieź stanowiła mocna nić. Posiadacze takich latawców byli podziwiani przez inne dzieci z podwórka.

W okresie zimowym podwórkowe życie było mniej intensywne. Głównym zajęciem dzieciaków było robienie ślizgawki, a następnie ślizganie się na niej. Było przy tym wiele uciechy zwłaszcza, jak ktoś stracił równowagę i zamiast na butach pokonywał ślizgawkę na tyłku. Pamiętam, że raz czy dwa udało nam się zrobić na podwórku lodowisko, oczywiście w porozumieniu z dorosłymi. Najpierw usypaliśmy ze śniegu bandy dookoła terenu, na który następnie była wylewana woda. Czasami czynność wylewania wody należało powtórzyć, gdyż tafla lodowiska okazywała się nierówna. Jak już lodowisko było zrobione, to można na nim było rozpocząć grę w hokeja. Kije hokejowe wykonywaliśmy sami, ale byli szczęśliwcy którzy zdobywali profesjonalne kije, tzw. „smolenie” [od nazwy firmy SMOLEŃ, działającej od 1950 roku w tej branży] będąc na meczu hokejowym w Hali Sportowej. Czasami udawało się wyprosić, oczywiście uszkodzony, kij hokejowy, który następnie owijało się taśmą izolacyjną i grało się nim bez problemu. Zima to dla mnie również skrzywienie śniegu pod butami na podwórku i zapach mrozu wymieszany z zapachem dymu z kominów.

Na wiosnę podwórko na nowo zaczynało tętnić życiem. W okresie Wielkanocy największą frajdę sprawiało strzelanie z karbidu. Zabawa ta, może trochę niebezpieczna, dostarczała nam dużo adrenaliny. Żeby postrzelać z karbidu, należało zdobyć puszkę taką chociażby, w jakiej były przetrzymywane w sklepie kostki bulionowe. Trzeba było ładnie uśmiechnąć się do sprzedawczynie i taką pustą puszkę otrzymywało się. Ale puszka to była dopiero połowa sukcesu, a może nawet mniej niż połowa, gdyż potrzebny był jeszcze karbid. I tutaj trzeba było mieć kogoś, kto pracował w fabryce, w której używano karbidu. 2 – 3 niewielkie kostki karbidu wielkości orzecha włoskiego wystarczały do strzelania przez cały okres Wielkanocy.

Oczywiście obraz mojego podwórka, ale i wielu innych, byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o gołębiach. Na moim podwórku było dwóch czy trzech hodowców gołębi zwanych potocznie gołębiarzami. Lubiliśmy przebywać w pobliżu komórek, w których były gołębie, aby posłuchać ich miarowego „gruchu, gruchu”, albo obserwować ich dumne paradowanie po dachu gołębnika. Przyjemnie też było obserwować loty gołębi, które wzbijały się wysoko zataczając w locie powtarzające się kręgi. Na tle błękitnego nieba sprawiały wrażenie przemieszczającej się w szyku eskadry samolotów. Po wielu okrążeniach wabione przez swego właściciela lądowały na ziemi lub na dachu gołębnika. Były tu najprzeróżniejsze odmiany gołębi, m.in. „wyszwanec” [białogon polski], „garłacze”, „winerki”, „bociany”, „łapciate”, „koroniate” i wiele innych.

Zabawki robiliśmy z tego, co było pod ręką – z pudełek, gałązek, drutów, szmatek, papieru i nigdy nie nudziliśmy się.

Mieszkałem na nowym, najnowocześniejszym wtedy osiedlu Władcy Bytomskiej w rejonie Spornej i Brackiej. Łódź lat 60. XX wieku była jak Warszawa [Stanisława] Grzesiuca. To osiedla, dzielnice, bandy. Setki wyrostków stanowiły jedną bandę. Ta dzielnica powstała między wsiami. Tam, gdzie obecnie jest Park im. Szarych Szeregów [do 1994 r. Park Promienistych] wtedy było wysypisko śmieci.

Dzisiejsze podwórka to jest zupełnie inny świat. Wówczas w każdym mieszkaniu było mnóstwo dzieci. Na podwórku zawsze było kilkadziesiąt dzieciaków. Wszyscy wychowywani byliśmy w cieniu wojny. Wojna była koło nas, wojna była w szkole, wojna była też w kinach. Pamiętam syreny alarmowe umieszczane na budynkach. Wyły co jakiś czas. Były próbne alarmy atomowe, lotnicze, trzeba było uciekać, a pomiędzy blokami były potężne schrony. Wejście do tych schronów było z każdego bloku w piwnicy. Poza tym na podwórkach były takie małe budyneczki, które były wyjściami awaryjnymi w razie, gdyby blok się zawalił w czasie bombardowania.

Na podwórku bawiliśmy się „w wojnę”, ganialiśmy z patykami – wszyscy – chłopaki i dziewczyny. Robiliśmy okopy, zakopy. Dziewczyny grały „w gumę”, chłopaki kopali piłkę. Penetrowaliśmy oczywiście osiedlowe bunkry. Od strony piwnicy były i są do dzisiaj stalowe wielkie drzwi zamykane na kłódki. Dozorca przeganiał nas, bo nie wolno było wchodzić do bunkrów. Dla nas to była wielka frajda i im bardziej coś było zakazane, tym większą było atrakcją. Dozorca nigdy nas nie złapał. Te zabawy pod ziemią to było coś niezwykłego. Bunkry były tak potężne, że dla każdego mieszkania w bloku przeznaczony był pojedynczy pokój. Były też tam duże pomieszczenia sanitarne i umywalnie. Jeden bunkier był na dwa bloki.

W latach 60. i 70. były potężne zimy. Gdy szedłem do szkoły, niebo widziałem jako wycinek w śniegu. Śnieg był wycięty na dwa metry przez dozorcę. Ale takie zimy powodowały, że podwórka tętniły życiem. Dozorca wylewał wodę

i na podwórku było świetne lodowisko. Każdy z nas miał buty z wyciętymi w obcasie dziurami i przykręconą blaszką, a ostrza nosiło się w tornistrze. Ostrze przykręcało się do butów i już się jeździło. Do szkoły jeździliśmy na łyżwach, pod szkołą odkręcało się łyżwy i szło na lekcje. Ulica Bracka to było wtedy jedno wielkie lodowisko. Organizowaliśmy też wyścigi na łyżwach. Na Spornej pięknie jeździło się na sankach. Na brzuchu dojeżdżało się do Wojska Polskiego. To było możliwe, bo wtedy jeden samochód przejeżdżał tam na godzinę. Gorzej było z powrotem. Czekaliśmy na przejeżdżający samochód i zaczepialiśmy sanki do zderzaka i tak wracaliśmy na górę.

Na każdym podwórku był trzepak. Okupowane były przede wszystkim przez dziewczyny. Wisiały na nogach głowami w dół i godzinami gadały. Poza tym robiły przewroty, „fikołki”. Graliśmy też „w kapsle”. Ścieżkę do gry rysowaliśmy na chodniku, pstrykaliśmy tymi kapslami tak, żeby żaden nie wyskoczył poza wyznaczoną linię. Graliśmy też „w noża”. Wtedy każdy chłopak nosił scyzoryk w kieszeni albo finkę przy pasie. Rynsztoków nie było, ale gdy padał deszcz, puszczałyśmy w deszczówce łódki zrobione z pudełek od zapatek. Tam był lekki spadek ulicy i robiły się świetne deszczowe rzeczki. Rzadko kto miał w domu piłkę taką, jaką dzisiaj bawią się chłopcy. To był rarytas. Najczęściej piłka powstawała z jakichś dziwnych rzeczy, szmat, żeby miała sprężystość i okrągły kształt. Pamiętam, jak mój kolega z bloku dostał piłkę „z Zachodu” w prezencie. To było coś niezwykłego. Czasami pożyczal tę piłkę, ale była pod specjalnym nadzorem. Czasem baliśmy się w nią grać.

Jednak najczęściej nasze zabawy związane były z wojskowością. Cały czas inscenizowaliśmy jakieś walki wzorowane na filmach o Hansie Klossie [„Stawka większa niż życie”, reż. J. Morgenstern, 1967–1968] i „Czterej pancerni i pies” [reż. K. Nałęczki, 1966–1970]. Pamiętam, kiedy w latach 70. na plac Wolności miał przyjechać czołg z filmu o czterech pancernych. Miałem szczęście, że mogłem tam być. To było wielkie wydarzenie w Łodzi. Byli też wtedy tam wszyscy czterej pancerni. Czołg miał przejechać przez całą Piotrkowską, ale przejechał tylko parę metrów, ponieważ był taki tłum i ścisk, że nie było takiej możliwości. Cała Piotrkowska była wtedy nabita ludźmi, gapiami, którzy nie mogli się ruszyć, a co dopiero wielki czołg. Tam przyszła cała Łódź i zatrzymała czołg.

Wtedy naprawdę kwitło życie towarzyskie. Telewizorów nie było tak dużo, mało było audycji. Ludzie mieli więcej czasu dla siebie. Jedni się lubili, inni nie. To jest i było normalne. Drzwi do wszystkich były otwarte, może nie dosłownie, ale jeżeli ktoś czegoś potrzebował, nie było problemu. Wszyscy

do siebie pukali i zawsze sobie pomagali. Pożyczenie przysłowiowej soli nie było żadnym problemem. Wzajemna pomoc była czymś oczywistym. Na podwórkach i ulicach było dużo ławek, siedzieli tam ludzie i rozmawiali ze sobą. Więcej osób spacerowało. Dzisiaj ludzie biegną dokąds, są zajęci, nie mają czasu dla innych. Dzieci więcej czasu spędzały z rodzicami. Dawniej ludzie więcej rzeczy robili wspólnie. Razem uprzętały teren dzisiejszego Parku im. Szarych Szeregów, sadzili drzewa.

Odwiedzaliśmy się w domach, ale najlepiej było na podwórku, szczególnie jak była ładna pogoda. Nie mieliśmy zabawek, tak więc zabawy wymyślaliśmy sami. Nawet na święta własnoręcznie robiło się prezenty. Gdy mieliśmy rowery, nigdy nie jeździliśmy po jezdniach, chociaż samochodów było niewiele. Jeździliśmy po chodnikach, ścieżkach i z czasem robiliśmy coraz to dłuższe wypadki, np. do Łagiewnik albo do Helenowa. Pamiętam jeszcze wodospad w tym parku. Ścigaliśmy się rowerami wokół stawu, po torze kolarskim.

To, że wychowaliśmy się w cieniu wojny, powodowało u nas duże zainteresowanie historią. Wiedzieliśmy bardzo dużo, dużo czytaliśmy i rozmawialiśmy, oglądaliśmy historyczne filmy. Prześcigaliśmy się w wiedzy, kto wie więcej. Zbieraliśmy historyczne książki, komiksy, popularna była seria „Tygrysa” [„Biblioteka Żółtego Tygrysa” – seria wydawnicza dla młodzieży, ukazująca się nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej w latach 1957–1989]. Nas chłopaków głównie interesował sprzęt wojskowy. Każdy chłopak miał pudło żołnierzyków w domu. Ustawialiśmy setki żołnierzyków i rozgrywaliśmy aktywne bitwy, oczywiście zgodne z opisami z literatury. Chwaliliśmy się nowymi nabytkami, wymienialiśmy się. Gdy podrośliśmy, spotykaliśmy się na imieninach, graliśmy „w butelkę”, tańczyliśmy, bawiliśmy się wspólnie wszyscy.

Kiedyś rodziny były większe i święta spędzało się w gronie najbliższych. Mieszkania były pełne. Wiadomo było, że u kogoś jest przyjęcie, bo pożyczano krzesła od sąsiadów. Spotykano się raczej w domach. W lokalach było drogo, nie każdego było stać na urządzenie przyjęcia w restauracji. Komunie, stypy i chrzciny to były przyjęcia rodzinne, na których też zawsze był tłum, bo były duże rodziny. Zdarzało się, że takie spotkania odbywały się przy otwartych drzwiach i „pół klatki” przychodziło. Bawiono się też na schodach, bo w mieszkaniu nie było wystarczająco miejsca. To było naturalne, nikogo nie dziwiło. Życie towarzyskie mieszkańców bloku było bardziej widoczne niż dzisiaj. Ludzie częściej się spotykali, ale istniała obawa, żeby ktoś nie doniósł, chociażby o tym, że w towarzystwie padł jakiś niestosowny dowcip. Nigdy nie było takiej stuprocentowej otwartości między ludźmi. Takie były wtedy czasy.

Dzieciństwo, lata liceum i studiów spędziłam na Dąbrowie. Mieszkałam w jednym z wielu bloków, wieżowców na osiedlu mieszkaniowym, w którym każde mieszkanie wyglądało prawie tak samo: meble, wyposażenie. Nawet ludzie ubierali się podobnie.

Osiedlowe podwórko było dla mnie drugim domem. Wracając ze szkoły myślami byłam już przy mojej oazie swobody, psot i miłego spędzenia czasu. Niezależnie od pory roku, wszyscy z bloku uwielbialiśmy to miejsce. Spotykaliśmy się tutaj z dala od rodziców, wszyscy razem, w „podwórkowej grupie”. Tutaj rodziły się między nami pierwsze przyjaźnie, miłości, sprzeczki, plotki, bójkki między chłopakami. W szkole uznaniem cieszył się ten, który miał najwięcej kolegów z podwórka, opowiadał o nich na przerwach między lekcjami, zapraszał na urodziny, pokazywał ich zdjęcia (w tym czasie pomiędzy znajomymi modna była wymiana zdjęć w formacie legitymacyjnym). Mówiąc wśród rówieśników z klasy „mój kolega czy moja koleżanka z podwórka” dawało się świadectwo temu, że w kręgu naszych znajomych są nie tylko koledzy z klasy, z którymi spędzaliśmy przecież najwięcej czasu w ciągu dnia. Mieć kolegów spoza szkoły, świadczyło też o tym, że jest się lubianym, że inni zabiegają o kontakt i znajomość z nami.

Nasze podwórko pomiędzy dwoma blokami było miejscem wyjątkowym. Centralnym jego miejscem był trzepak i oczywiście piaskownica oraz huśtawki. Raj dla wszystkich dzieciaków. To podwórko było tylko nasze. Ktoś z sąsiedniego podwórka od razu zwracał naszą uwagę, nieufność i czasami nawet strach. Jeżeli zjawiali się nowi lokatorzy w bloku, oni też zwracali naszą uwagę. Nie od razu przyjmowani byli do naszej grupy „nowi”, najpierw ich obserwowaliśmy. Do jakiej szkoły dzieci chodzą, jakim samochodem jeżdżą rodzice i co najważniejsze – gdzie pracują. Jeżeli pozyskali nasze zaufanie i zainteresowanie – bawili się razem z nami.

Czasami zaglądały do nas dzieciaki z sąsiednich podwórek. Było ich dużo w blokowisku. Każde podwórko było właściwie identyczne, chociaż nie na wszystkich był trzepak. A to był ważny podwórkowy rekwizyt. Praktyczny

i niezbędny do podwórkowych zabaw. „Fikołki” przyprawiły nasze mamy o zawal serca. To były mistrzowskie akrobacje – mistrzowskie i niebezpieczne. Trzeba było nie lada kondycji, siły, zmysłu równowagi i orientacji, żeby nie spaść z trzepaka i nie nabić sobie guza.

Przejsie do innego podwórka bylo jak podroz w nieznaną, przestrzeń trochę obcą a może nawet niebezpieczną. Inni ludzie mieszkali w tamtych blokach, nieznajomi, im nie mówiło się „dzień dobry”. Rzadko zaglądaliśmy na inne podwórka – właściwie nie interesowało nas, co tam się dzieje. Mieliśmy swoje podwórko, ulubione, znaliśmy tam każdy zakamarek, tam czuliśmy się bezpiecznie i swojsko. Ulubione zabawy: „hula hop”, „w chowanego”, „w kapsle”, „raz dwa trzy baba jaga patrzy” i oczywiście niezwykle popularna w latach 80. gra „w gumę”. Ta ostatnia przede wszystkim dla dziewczynek, chłopcy sporadycznie przyłączali się do tej zabawy. Skakało się „dziesiątki”, „szkoły”, rozciągało gumę „w trójkąt” lub „w kwadrat” – wtedy więcej osób mogło brać w zabawie udział. Najważniejsze było, żeby skakać „bez skuchy” [błędu, pomyłki] – bo wtedy wszystko zaczynało się od początku.

Na podwórko wychodziło się, żeby pokazać się w nowej sukience, butach, pochwalić się zakupem nowej gumy do skakania (bieliźnianej), paczką ciukierków przyslaną przez rodzinę z zagranicy. Podwórko na chwilę pustoszało w wakacje. Dzieciaki wyjeżdżały na kolonie, obozy, do rodziny na wieś. Ale jaka była radość, kiedy wszyscy spotykaliśmy się we wrześniu. Opowiadaniom nie było końca. Gdzie kto był, co widział – gadaliśmy do wieczora, a rodzice nawoływali, żebyśmy wracali do domu. A my i tak się ociągaliśmy. Często zdenerwowani rodzice wkraczali do akcji i siłą zabierali delikwenta do domu. Po drodze nierzadko był klaps za nieposłuszeństwo.

Podwórko to moje bez troskie dzieciństwo, czas spokoju, zabaw i wielu kolegów. Zastanawiam się czasem, dlaczego nie mam żadnego zdjęcia z mojego podwórka. I właściwie nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek, ktokolwiek robił zdjęcia nam (dzieciakom), uwiecznił na kliszy nasze podwórko. Czy było to miejsce tak nam bliskie, tak oczywiste i prawdziwe, że nie zasługiwało na fotografię? Czy świadomość, że podwórko będzie zawsze na swoim miejscu i nic się tu nie zmieni, sprawiła, że nie było potrzeby fotografowania go? Dziś żałuję, że wspominając dawne dziecięce czasy nie mam chociaż kilku zdjęć z mojego podwórka.

Większość życia spędziłem na Retkini, w blokowisku. Mam mnóstwo wspomnień z mojego dzieciństwa.

Większość czasu jako dziecko spędzałem na dworze, tym bardziej, że przez długi czas nie było u nas w domu telewizora. Do mojego dziadka chodziłem na telewizję. To były lata 70. Mieszkalem w bloku dla rodzin wielodzietnych na Piaskach. To był trochę elitarny blok. Tam mieszkali m.in. dyrektorzy i artyści.

Dzieciarnia zawsze trzymała się razem, dorośli raczej nie. Dzieci częściej odwiedzały się w domach niż dorośli. Wspólnie oglądały np. filmy wideo na magnetowidzie. Każdy blok stanowił jakąś wspólnotę. Na podwórku był obowiązkowo trzepak i piaskownica. Tam zawsze w maju odbywały się zabawy w „wyścig pokoju” – graliśmy „w kapsle” [przesuwając kapsle imitujące zawodników po wyznaczonej trasie].

Na naszym podwórku rosły drzewa, chodziliśmy po nich i to była wielka dla nas atrakcja. Graliśmy „w gumę” z dziewczynami, z dzieciakami z innych podwórek bawiliśmy się „w podchody”. Grupę do wspólnych zabaw tworzyły jednak dzieciaki z jednego bloku. Trzymaliśmy się raczej w swoim gronie. Zimą oczywiście sanki na górze.

Sąsiedzi byli życzliwi dla siebie, a teraz jesteśmy wszyscy bardziej anonimowi, zamknięci w sobie. Łączy nas tylko poranne „dzień dobry” i wieczorne „dobry wieczór”.

STWÓRZ WŁASNĄ MAPE WSPÓ- MNIENÍ

moje wspomnienia wiążą się
z podwórkiem mieszczącym się przy ulicy

zapachy, które najlepiej
pamiętam:

moje ulubione zabawy:

moje zwierzę domowe:

mój największy
kłopot z dzieciństwa:

na moim podwórku zawsze
było słychać:

najdziwniejsze wydarzenie, jakie
pamiętam z podwórka:

moje ulubione
smaki:

moje
najpiękniejsze
święta:

moje najsilniejsze
wspomnienie:

moja
ulubiona
melodia:

Repozytorium, które powstało w ramach projektu „Łódzkie podwórko – tradycja i współczesność” jest interesującym i wyjątkowym zbiorem wspomnień oraz opowieści.

Stanowi źródło wiedzy zarówno dla badaczy historii Łodzi, etnografów, urbanistów, jak i dla wszystkich Łódzian, którzy chcą poznać życie codzienne i niecodzienne miasta oraz jego kulturę sprzed lat. Swoimi wspomnieniami podzieliła się grupa Łódzian, z której najmłodszymi respondentami byli czterdziestolatek. Większość osób, które zechciały opowiedzieć o swoim łódzkim podwórku była w wieku 60 – 70 lat. Dlatego też najwięcej zebranych wspomnień dotyczy lat 50. i 60. XX wieku. Spotkania miały formę luźnych rozmów, stąd też teksty zamieszczone w „Zeszytach wspomnień” są do pewnego tylko stopnia ich dokładnym zapisem. Starano się wiernie zachować treść wspomnień, choć niekiedy ze względów stylistycznych i gramatycznych dokonywano pewnych skrótów i redakcji. Łódzianie chętnie opowiadali o dzieciństwie i latach swojej młodości. Rozmowy były pretekstem do przypomnienia sobie wspólnie spędzonego czasu na podwórku z kolegami i koleżankami, podwórkowych tajemnic i radości, o tym jak współlokatorzy jednego domu żyli, pracowali, jak wyglądały relacje między nimi i styl życia w dawnej Łodzi. To również opowieści odnoszące się do różnorodności kulturowej i społecznej Łódzian, mówiące o ich przyzwyczajeniach, zwyczajach i obyczajach rodzinnych, nawykach. W Repozytorium znalazły się głównie autobiograficzne opowieści naszych rozmówców. Ale też niektórzy przywoływali z pamięci zasłyszane lub opowiedziane przez sąsiadów czy starszych od siebie członków rodziny „podwórkowe historie”.

Dziękujemy wszystkim, którzy zechcieli porozmawiać z nami i „pokazać nam swoje podwórko”. Mamy nadzieję, że udział w tworzeniu Repozytorium był dla wielu z Państwa przyjemnym spotkaniem z przeszłością, historią rodziny, przyjaciół i znajomych.

DYREKTOR MUZEUM Barbara Kurowska

KOORDYNACJA PROJEKTU Maja Jakóbczyk

WYBÓR I ZAPIS WSPOMNIEŃ Beata Kamińska

OPRACOWANIE GRAFICZNE Tomasz Kochelski

WSPÓŁPRACA Joanna Mieszczanowicz, Antonina Pawłowska, Laura Rybczyńska

IDENTYFIKACJA WIZUALNA PROJEKTU Agencja Oksymoron

Patronat honorowy:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



PREZYDENT MIASTA ŁÓDZI
HANNA ZDANOWSKA



CHYBA SZYMNAROWA 27POCZTA 9 ŁÓDŹ
BUDA COMMUNITY OF ŁÓDŹ

WFO
Wytwórnia
Filmów
Graficznych
www.wfo.com.pl

Patronat medialny:



plasterlodzki.pl

